

BIBLIOTEKA
OSSOLINEUM

nr 50-51

ZIMA 1929 roku była tak mroźna, że ptactwo polne zamarało co noc całymi stadami przy obejściach ludzkich. Mróz dochodził niekiedy do 40 st. Celsjusza. Czyż w takich warunkach można się było wydać na jakąkolwiek wycieczkę na wieś? A jednak Jaś zarzucał palto na siebie, brał baranią czapę ojca na głowę i wylatywał za stodołę na szerokie, białe niżyny Zagaja, spotykał się i z Józją...

W domu czas teraz mijął spokojnie. Zośka przędała i śpiewała koledy, dziewczyny dary tuż koło blachy pióra i opowiadały sobie o tym, co każda z nich z osobna usłyszała na wsi. Niekiedy przysiadła się do nich Adam. Był teraz wesoły, bo kupił piękną roczną jałówkę na jarmarku prawie za bezcen, to też trzymały się go nieustannie frywolne gadki, pełne porywającego humoru. Ho — trzeba go było widzieć w czasie takiego opowiadania, przecież dziewczyny aż... — ach, po co o tym mówić!

Najwięcej jednak opowiadał tej zimy o wuju swoim, Janie Ziolo...

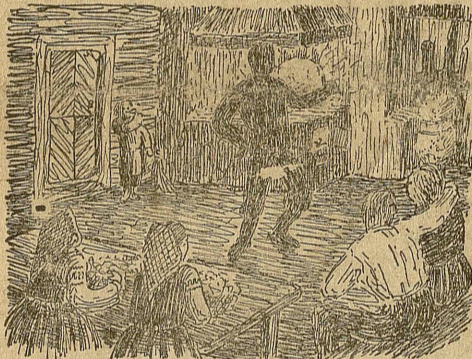
Na dworze skrzypiał mróz i iskrzyła się zimna noc, a oni, zbiti w gromadkę przy ciepłym piecu lub ogniu, słuchali, dogadywali sobie, śmiali się wesoło.

— No ty, Maryś, to chyba przecie pamiętosz łujka? — wołał Adam.

— Nie pamiętałabym? — Jakże — ze dwa lata żyli przy naszej babce.

— Aha, ha, właśnie. Z łujka to był jednak porządny „hałabuda”, ha, ha! — śmiał się Adam. — Jednego razu sprzedali Jan swoją babę za 200 złotych. Jak? — Ano — oni nie żyli ze swoją kobitą prawie od początku, bo to przepili babie pierścionek i ślubną suknię, a potem to już latali po świecie.

Tak od czasu do czasu ze zwyczaju wracali jednak do swojej baby. Otóż raz zachodzą, a tu koło Dorotki (Dorotka było na imię tej papizdrańskiej łujnie) leży chłopina z Grzelowa, o którym można powiedzieć, że myszy mu popaprały łeb, tak był poliszajony i piegaty. Jan byli porządnie podpicci i wracali z pieniędzmi — bo oni byli nauczycielem po okolicznych



wsiach — więc fantazji im nie brakło. Najpierw Dorotkę przegnali z izby, a potem zabrali się do chłopca.

— Franek — powiadają — zmów ojczenas — i w te razy łapią go za ucho i podnoszą ku powale. — Aj, aj! — wyje chłop i kręci się. Tymczasem nie może się ruszyć, bo Jan zabrali mu portki, katanę, a nawet kalisony.

— Coż tak ziejiesz, obziporku! — gadają Jan i zapaliwszy papierosa, dalej... — Mnie tam o Dorotkę nie chodzi, możesz se ją wziąć, dom ci nawet i portki, ale za darmo nie ma nic — przeźniesz se palec i krwią napiszesz, że w środę w mieście wypłacisz mi 200 złotych za to, inaczej o zgodzie ni ma mowy!...

— Wypłacę, wypłacę — zapłakał chłop. No, i tak krętu wężu uzgodnili ze sobą sprawę, ten habski przetargunek!

Przestał Adam na moment mówić, lecz nagle podniósł się z krzesła, rąbnął na cały głos...

— Wita co, łujek wygnali jednak i tak chłopca bez portek i gaci na świat — cała okolica śmiała się z tego pół roku, podobno bowiem psy tam tego chłopca mocno wyszczypały po gołym tyłku!

— Chi, chi — o ha, ha, ha! — pisnęła pierwsza Helka i zaraz wszyscy — Marysia, Zośka, Krzys, Jaś i sam Adam śmiali się głośno i długo, aż szyby odszczękiwały szybko i wiatr przycichał za oknem.

Drzewo dopalało się pod blachą, miłe, pieczące ciepło szło od pieca — przez niezamarnięte jeszcze całkiem okno południowe w izbie widać było tymczasem rozgwieżdżoną noc styczniową, delikatne,

*) Z rozszerzonego, na nowo opracowanego wydania III-go „Młodości Jasia Kunefala” fragment nie publikowany.

Stanisław Piętaś

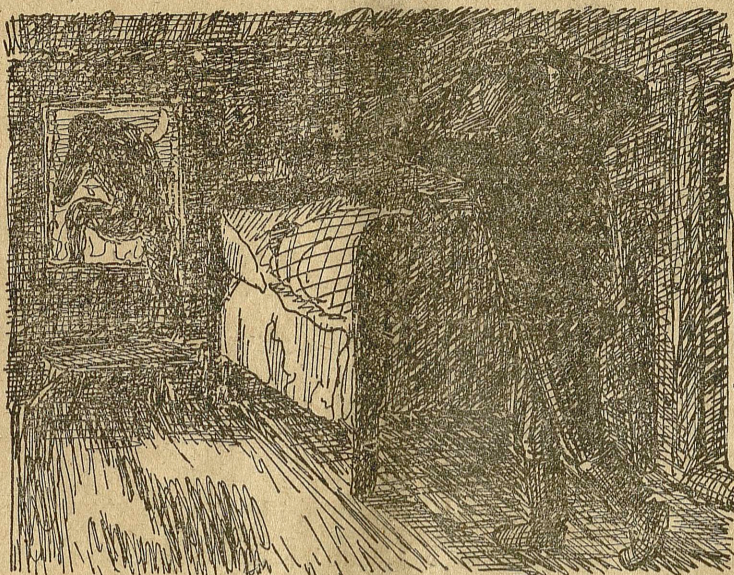
Opowieści Adama Kunefala *)

Ilustr. A. Strumiłło

wyraziste konary drzew w niebieskawym świetle pół Zagaja...

Jaś w koszuli rozpiętej, z gładko do tyłu uczesnymi włosami, z czułym uśmiechem na wargach, począł marzyć, wspominać, jak kiedyś to, pewnie w r. 1917, albo 18-ym, też w mroźną zimę ścigali po Zagaju z Krzysiem lisa, jak zabłądził aż w

Nie chcieli to niby darmo jeść chleba u nos, więc tak do mnie od czasu do czasu mówią. — Adamku, a możeby tak czło-wiek się przydoł na co — powiedz, pomogę... — Ano dobrze odpowiadom — bom już był gospodarzem po śmierci ojca. — O, widzicie, wrota się obaliły — naprowcie, a porę szóstek nawet dostaniecie za to.



łas i później wracali i w śnieg, i w hujawę okropną, ale z tego półsennego wspomnienia wydarł go znowu wesoły głos ojca.

Adam chodził po środku izby teraz i śmiejąc się radośnie, ku uciechu straszliwej kobiet naśladował chód swego łujka, Jana Ziola.

— Hej! hej! — wołał — przecie to był nauczyciel z nich, uczyli dzieci i tu i tam, zdaje się, i u nos przez rok — nie, Zośka? Nigdy inaczej nie chodzili tylko: czarne ubranie, biała koszula, buty wyczyszczone. No, a na gębie i różowiułki i ładniutki, wymyły do włosów. — Ja ich raz jednak zapaskudziłem — ej, Boże, ale zapaskudziłem — zaśmiał się nagle. — Było to jakieś azieście lot przed wojną — łujek pokłócił się znowu z łujną, przepili gdzieś w świecie pieniądze, jakie dostali od ludzi za naukę i że to się jeszcze nie chciało robić, dali do nos w odwiedziny, do swojej siostrzyczki Jagusi, jak zawsze!...

— Pochwolony Jezus Chrystus — mówią i wchodzą. — No, ubranie na nich dobre, gęba uśmiechnięta, tylko jakieś iskiereczki płochliwe w tych małych siwych oczkach...

— A skądże to, Jasiu? — mówią mama. — Mój Boże, rok cię, robocku, nie widziałam.

— Ze świata, Jaguś, z daleka, ocy tego nie wypatrz, Bożycku mój... — i chytrała cmok mamę w ramię — popłakał się, począł lży chusteczką ocierać!

— A u Marysi nie byłeś?

— Hem, hem, u Marynki? Ej, Jaguś! — rozkrochmałił się jeszcze bardziej. — Czy to jest jeszcze Marynka dla mnie, czy to jo już nie sirota?

Wiedział, że ja i Szczepan nie bardzo go ta szanujemy, więc nie ruszał dalej do izby, ale wciąż siedział w kuchni i udawał, że nie widzi naszego drwiącego spojrzenia.

— No, mos, Jasiu, zjizd, bidoku, trochę ty ciepły wozry — mówią mama i postawiają mu pełną parującą miszkę.

— A syrka ta, Jaguś, ni mos — tak mie ścisko w dolku, by choć pomacać ten kochany twój syrecek. Nikt tak nie robi, jak ty, żółcusięńki, piękniutki, kwiotusek istyczny...

Z tego syrka tośmy się śmieli i huncwot Szczepan nawet przegrzyźnił łujka...

Obiecanka widocznie ich zachęcała strasznie, bo od rana chłop zabroł się szczyrze do roboty. Deszcz padał i błoto było pie-rońskie, ale to nic — łujek upaprany, robili, robili, nawet na obiod nie chcieli przyjść — i wreszcie na jaką czwartą założyli nowe wrota.

Hej! ale chłop powesoł, kiedy dostał dwie szóstki! Wygalantował się, umył, burty wyczyścił i jak młodzieniec to gwizdo krakowiaka — to ufny, że nikt nie patrzy — zaśmieje się na środku izby, podskoczy, zatańczy, podrzuci szóstkę pod powałę. Chodzi przy tym za mamą i cichuteńko szepce: — Jaguś, a maselka ta ni mosz dzi-sioj, a może by tak miodziku plasterek? — widzieli, uzbirates wczoraj...

Mama jednak nie miała humoru tego dnia i odparowali go zaroz. — Idź, Jasiu, nie zawracaj głowy, lepi otwórz wrota — widzis, krowy idą. Do karczmy mos ta cas jesce iść — to świństwo nie ucieknie...

— Ale, Jaguś, bój się Boga, jakie ty mos zle pomyslenie o mnie! — Ja człowiek po-bożny.

— No, no, idź — widzis, krowy juz rycą...

Łujek wyszli, ale tu nastąpiła katastrofa, po której, jak miły Bóg, i ja i mama i Szczepan śmioliśmy się z pół dnia. Krowy przemokłe złyły się, czy co, bo pędziły całą siłą ulicą — Jan chcieli ubiec je i wrota otworzyć, ale czy to, psiameter, że w po-piechu zrobili, czy jak, bo ledwie chłop ujął za sztachetę, a tu wrota w dół, a oni w tym wyczyszczonym ubrańku z białą gębą i w kapelusie bęc, jak długi w błoto — i narzsa Kraso przez nich — i drugie też przez nich! To tylko jałówka czerwono Paluszko-wy stanęła i, psiakrew, widząc, że chłop się nie może wygramolić, obwachała ich naokoło...

Już przy ostatnich słowach Adam aż się zakaszlał z wesołości i w rozpędzie, zawa-diacko usiadł na krześle pod piecem, śmiejąc się, waląc się radośnie dłońmi po kolanach.

— Ej, ej, ale to umie opowiedzieć — mówiła wolno zamyślona Zośka Kunefalina — dziewczyny tymczasem ocierały lzy, odmu-chiwały pierze, które osiadło im na podółkach podczas opowiadania, wysuwając się im z rąk — i patrzyły marząco przed siebie...

— A łujek ukradli u nas palto — powiedział naraz szeptem Krzys, który nie śmiał się, tylko patrzył w ojca uważnie, z wielkim napięciem.

— Ej, bo to ino palto — smyk był z nich — i palto i buty, no, a tych syrków, jaj, to nie zliczyć! Ukradli jednak i parasol — i tu ich spotkała za to kara sroga — dwa lata nie śmieli się pokazać u nos w domu. Parasol był Szczepana — po co on sobie go kupił, na co? — nie wiem, dość, że to jego był i od czasu do czasu brał on go ze sobą do miasta.

Jednego razu też chce brać — a tu parasola nie ma! — Gdzie parasol? gdzie parasol? — krzyczy — cały dom chciał porzobić.

— Zdaje się, że Jaś wzieni — dyskry pa doł, sama prawie dałam — mówią mama, którzy wiedzieli o słabej stronie łujka, a jednak zawsze go bronili i wierzyli, że on tylko tak tymczasem bierze — potem odda!

— Dyszczyk — już ja ich znam! Ukradli, zahamcili mój parasol, o, niech ich pieron zwali! — krzyknął Szczepan i zmusił mamę, że pojechali z nim do Uwrocin, gdzie to łujek od tygodnia sprawował urząd pisarza gminnego.

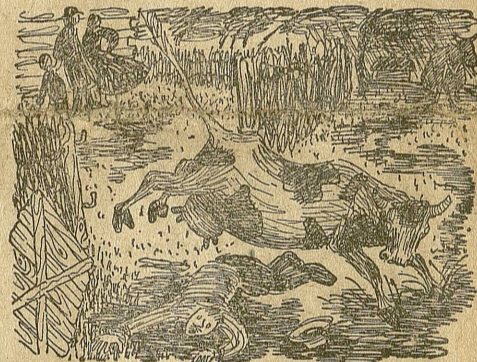
Przyjeżdżają, a tu właśnie odbywała się rada gminna w Uwrocinach. Łujek za stołem, obok ksiądz, hrabia z Głogowa i same siwe głowy. Szczepan był jednak tak rozjuszony, że na nic nie uważał. — Oddajcie parasol! — krzyczy.

Łujek go spostrzegli, ale udają, że nic — i z przechyloną głową w okno zaczęli pa-trzeć i jakby oglądać wróble.

— Panie Ziolo, oddajcie parasol! — drze się wszakże wciąż Szczepan.

— Hm, hm, ktoś ta do pana, panie sekretorzu... — trącił łujka w ramię jakiś chłopina... Coż było robić? Trzeba było rozstać się z towarzystwem hrabięgo — i czerwony ze wstydu, oburzony, wyjść za drzwi.

— Ależ cicho! cicho! — syczą przez zęby i dają Szczepanowi rozpaczliwe znaki, by zamilkł, nie kompromitował ich w urzędzie...



Ten jednak jeszcze głośniej krzyczy i wymachuje rękami. — Oddajcie parasol! Ukradliście mi parasol!

— Cicho! cicho!

— Co mam być cicho? — ukradliście!

— Jaguś, ale ja parasola tu nie mam — mam go w domu, tymczasem tu jest rada — i w ogóle... Uspokój Szczepanka — przyjdę, to oddam — przysięgam...

— Oddajcie parasol! Teraz to już Szczepan woła na całą salę. Co było robić? — Łujek, zatykając uszy, porwali kapeluszy, wybiegli — i tyle ich Uwrocinu widziały! Oddali parasol, ale szaleli wtedy na całego.

— Masz, masz parasol — krzykali. — A niech cię szlag trafi — masz!

Adam przerwał opowiadanie i nagle wstał z hukiem z krzesła.

— Co nie przeszkadzało, że po dwóch latach przyszli do nos — i znów — Jagusię cmok, cmok, cmok w ramię — i o syrecku — o tym, że tak zafęskniło się w świecie za jedyną ukochaną siostrunią — siostrzyczką najmilejszą...

Mroźniej coraz bardziej stawało się, śniegi sięgały już końców sztachet, w izbie cieplej stawało się tym milej, tym zatulniej.

Oto pewnego dnia przyleciał z odmrożonym nosem chudy Jaś Sorek, w butach na przyboś, w podartej kurtce i napłakał się tyle, że aż syczało od lez na blasze. Baba go wypędziła, więc przyszedł do Adama, by Adam mu pomógł, ratował z biedy, napisał podanie do sądu.

Kobiety się śmiały, bo wiedziały, że Jaś i tak pogodzi się ze swoją babą jeszcze tej nocy. Adam, żeby je więcej rozśmieszyć, opowiedział tuż zaraz z południa im, jak to raz Sorek ścigał diabła u siebie w ogrodzie.

— Przychodzi w pewien wieczór majowy Jaś — mówił — ze wsi do domu, z babą

BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO

ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH
Ł Ó D Ź, A N D R Z E J A 1 2

- 1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK” poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
- 2. Józef Andrzej Frasiak „URODZONY W ŻDŹBLE” poezje. (160 stron druku) — Cena 180 zł.
- 3. Stanisław Piętaś — poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
- 4. Edward Marzec — debiut poetycki (40 stron druku) — cena 80 zł.

295360

BIBLIOTEKA
OSSOLINEUM

dopiero żył rok, a tu ktoś kicnął przez otwarte okno do sadu. „Kto to, Gierka? Kto to?” — ryknął a Gierka tymczasem chrapie, aż muchy się boją i odlatują na powale do kąta.

„Ci go, jucha zwiduje mi się, cy jak?” — pomyślał i nagle szarpnął Gierkę za nogę z całej siły.

— Kto tu był? Godoj, bo ubiję!

— Do pierona, tyś osaloł — pisnęła Gierka. — Co ty chcesz ode mnie — diabeł ci się chyba zwidziol...

— A może i diabeł — wybelkotał Jaś. —

Gieruś, więc diabły tu przychodzą?

— Jakżeby nie — chrząknęła ze złością.

— Co noc przychodzi i maco mię po nodze.

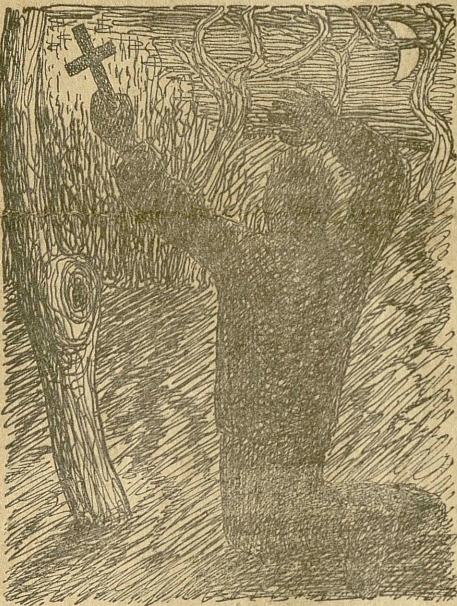
— Loboga, to trza poświęcić dom! —

krzyknął na to Jaś i chwycił Pana Jezusa ze ściany, skoczył przez okno. Księżyc świecił na niebie i jemu się wydało, że rzeczywiście między drzewami chwije się jakiś iskra, tak jakby diabeł włosy strzelały, pobiegł więc i klękawszy, zaryczył:

— Prec, prec! Ratujta — szaton zalicz się do moi Gierki!...

Opowieści podobnych było co niemiara. Wieczorem schodzili się chłopci przeróżni. Bryła, Paluszek, Kaźmirz Kuncał i radzili o polityce, wspominali dawne dzieje, obgadywali ludzi.

Jaś, schylony nad książką, od czasu do czasu przestawał czytać i poddawał się rozkoszy słuchania, marzył. „Dawniej, gdy byliśmy dziećmi, ojciec opowiadał całymi wieczorami o Montechryście. Przychodziło się doprawdy wtedy, jak na wykład, Krzys dostawał wypieków z przejęcia. Ale co tam Montechrysto! Ojciec raz streścił nawet „Konrada Wallenroda” Mickiewicza dla nich. Mówił przy tym o miłości Alfa i Al-dony tak pięknie, że dech zapierało w pier-si. Nawet przy czytaniu dzieła później nie miało się tak głębokiego, przejmującego przeżycia, jak wtedy...



„Ojciec byłby na pewno powieściopisarzem, gdyby się uczył — myślał Jaś. — Teraz opowiada te wesołe historyjki, ale przecież on potrafi mówić i o wojnie, o poważnych rzeczach!”

Ścisnęło mu się naraz serce, gdy uświadomił sobie, że po ożenku, skoro zamieszka w mieście, ten świat wiejski przestanie dla niego być tym, czym jest dzisiaj — takim bliskim, tak poruszającym fantazję.

Chciałbym jako sześćdziesięcioletni starzec wrócić tu — szepnął. Zamieszkać w jakiejś chałupince na uboczu. „Tak? A przecież wtedy nie będzie ani ojca, ani matki, ni Krzysia może, ni Marysi, ni Heli, ni Józki, ani nawet tych chat, co dzisiaj stoją”.

Uczyniło mu się tak ogromnie żal, że chwila piękna nie trwa długo i wyszedł na dwór. Znowu śnieg dał, szamotały się konary dębu, migajął znieścacka iskierek gwiazd na dalekim niebie.

„Beniamin Skrzypków nie żyje, Stach Kupała też nie — mówił. — Ja zresztą również nie jestem tym samym człowiekiem, który pisał kiedyś biedną Karą na pastwisku”... Myśl ostatnia przywiodła mu naraz dawne zdarzenie przed oczy. Świat był ledwo, ledwo — wykopany, głęboki dół pod stodołą świecił się wilgocią. Krzys, on i ojciec przywlekli odartą ze skóry, krwawiącą Karą i zepchnęli ją w ziemię. Padła przy robocie na polu, wykopali jej grób wtedy, jak dobremu towarzyszowi tylko o kilkanaście kroków od domu...

Było za zimno — nie dało się tego wieczoru wyjść na Zagaj. Rozcierając w pościechu nos i policzki, bo mróz chwytął się niezgorzej, wrócił Jaś do izby.

Stanisław Piętaś

Edward Marzec

ROZMOWA Z MATKĄ

(Fragmenty poematu)

Matko! I w martwych rękach
spłotłaś, jak kłamrą zamierzony
ciężar żywota. Brzezina ukłękła,
krzywym konarem spokój ci odmierza.

Wolam za tobą w utrapieniu nagłym,
najpóźniej spać idąca,
powstażesz najwcześniej!
Wyzwól się, Matko, z postaci umarłej
i zostań jeszcze na wargach mej pieśni!

Kostnieje zimą. Zmierch twardo napływa
i kwiaty w okna tka bardziej obficie,
niżby ogródek narcyzami przywarł
i party w szyby nieporadnie wyciekł.

Tak matce okna zszarzęją, a zblakną,
że białych śniegów nie wystarczy białość.
Każe zapalić zdjęte z gwoźdźcia światło
z obciętym knotkiem, żeby nie migało.

A nikt nie mówił. Matka patrzy wokół.
Czemuż ten ojciec nigdy się nie śpieszy?
O, drzwi otwiera. Buty z śniegu otlukł
I bardzo matkę swym przyjściem ucieszył.

Wszeczwładna babka świadków z domu
płoszy, barchanką sąg przez izbę kolebiąc.
Ma przyjąć dziecko. Ojciec pragnie pomóc.
Dziwnie pokorny. Popiół w rusztach grzebie.

i drwa najsuchsze na pasemka struże,
aż piec rozjarzał. Podsyca troskliwie
Dorzuci patyk i płomień podburzy,
by zielny odwar zakąpił żarliwiej.

Komu boleści przeznaczono więcej,
jak matce mojej? Za cenę żywota
mógłby syn przed nią, jak przed Bogiem kleczeć
i nadaremnie. Krzyk się rwał i miotał.

Przywołane ze ściany zbiegają obrazy:
krwawe serca i lilie nisko się schylały.
Krzyk jest zwierzęcy i grymas drga w twarzy
naprężony. Sinieje. A później jest biały.

Złękły garbi się ojciec i w żar ognia wąpi,
bo uwierzył, że zieleń cierpienie odwróci.
I wrzask ustał.
Urodziła syna.
Mdle piąstki.
Jezus na krzyż wrócił.

Wypij na zdrowie! Wypij rumianek!
Babka chrzci dziecko uroczystie,
a mróz na szybach od izby namiętli
w szerokie ujęty liście.

Przewiążesz w kolebce snu pełnej
ser mój, jak krawędź z krawędzią.
Samotny się zbudzę, samotny zupełnie
twój powrót wypłaczę i karmić mię będziesz.

Gdzieśindziej ciepło, wybielone
pieluszki, jak śnieg puszysty.
Matrony cierpną i bony,
gdy dziecko ma oddech nieczysty.

Tam senne kwilenie, to alarm,
co budzi najlepszych lekarzy,
ja tu się w kurzu, jak szczenię rozwalam,
rój strupków za uchem mię parzy.

I dwóch par kończyn używam do choda
zwierzątka swobodnego, przegrzebując śmieci
dojdę, wybadam... Mądrzejsza jest młodość
i moje dzieciństwo w królestwie rupieci.

A nocą, wodząc powrózkiem,
bym usnął, upraszaj laski.
Gdy biegun w odołku utknie,
na krótko, matko, zaśnij!

Nade dniem wstaniesz pracowita,
piastunko garnków, krów, dziecka,
i grzęd polnych, wczesnoprzekwitła,
to ciasto zagnieciesz w nieckach.

Słyszę nad sobą krzyk bezwiedny
i troska patrzy z oczu dobrych.
Zarówno z tobą jestem biedny;
wcześnie dorosły, czworonożny.

Nacichła wojna. Łąk przekwitłych więcej,
źniw upoconych, wysprzedanych korców.
Kończymy wszyscy próżniacze dzieciństwo,
niechętnie wchodząc w jarzemko do posług.

Odtąd życie moje, twoje, jeich
stadami żółtych gąsiał, gęsi białych
najpożyteczniejsz będzie się weselić
nędznym weselem robotników małych.

Znam podział pracy od rosy do rosy,
sezon roboczy od śniegu do mrozu...
...pannom rówieśnym przybywał warkoczek,
a chłopcy plekli warkocze z powrozów.

Wtedy już, matko, nie jesteś potrzebna.
Każeś myć nogi do pościeli brudnej,
wybucham płaczem, niczem mnie nie zjednasz
i tak wyrosną przebiegły, obłudny.

Niebo leniwie przepływa nad głową
jakby welna gorąca. Ze w źródle się poję,
pastuch najmędrszy, przywykłem surowo
los swój oceniać w domowym ustroju.

Przybądź poranku! Cienie topolowe
cieplą stopą niedbale przebiegłaś
i wnet cię rozgwar kurnikowy obległ.
Tak się wesoło człowiek zwykł zaprzęgać.

A poranne promienie, jak ręce
z iskiek krągłych sięgają do okien.
Spada z drzewa chłodnej rosy pęczek,
to w gałęziach wróble stado kopie.

Od ściany się jaskółka urwała.
Gęsi do hymnu rozszerzają skrzydła.
Kobietę przyplw plectwa pierzem zalał,
a ucho nagli niecierpliwie bydlą.

Za ścianą sapanie, po żłobie dudni
lub klak zielony u pysków się szarpie
i już dno skopca, jak w drewnianej studni
warczy drobnitko, szumi i znów warknie.

Czoło twe, matko, o wymiona wsparte,
Gdy tłoczysz mleko w pachnącej oborze,
jednak światłem i sierscią wytarte
bruzdami wzbiera, zmarszczkami się orze.

Spod chustki włosy siwsze wiatr wymiata,
a brzask gwałtowny oczu nie przymruży.
Tysiąc udołów. Mnożysz przez nie lata,
wymionom wzdętym nieustannie służąc.

Próżno mi szukać opieki u ciebie,
służebna dójko, żniwiarko, kopaczko!
Rak twoich formę oglądam na chlebie
z pieca wyjętym. Zniknęłaś, to jastrząb

uderzył z nagłą w kurczęta, jak w dzieci.
Jeszcze złorzeczysz wzburzona, a biała,
a już cię ojciec jadący naprzeciw
wzywa czymprędzej nagotować jadła.

Pod wieczór dźwigasz ladowaną chwastem
plachtę, jak krowy nakarmionej banie.
Ślad nóg się wznosi z nadłamanym jaskrem
długo na ścieżce, nim przed domem staniesz.

Popołudnie niedzielne. Próg ciepły.
Przez podwórko trzy ścieżki idą gołą ziemią.
Śloma skrzypnie. Tam ścierniska obeschły
i len obrodził olejnym siemieniem.

Zbliście się wiedzione ku sobie
kobiety takie, jakby brzeziny, wierzby
z dróg tych samych. Słoneczny odbłask
był pogodny. Brzeziny i wierzby

z wiatru krokiem kolebią się lekko
i ścieżkami dochodzą na miejsce:
matka spotkała matkę z małą dziewczką
i chłopcem, który wiąże z trawy lejce.

Wielka zazdrość o dzieci urodne,
tłuste prosięta, mleczne krowy
tał się w sercu. Lecz gwarzą swobodnie
o kazaniu z sądem ostatecznym.

Różne sprawy ze sieni, jarmarczne,
spod chałup czerwonych i białych,
na podwórkach, w ogródkach z kwiatami,
wreszcie troski. I czasu nie miały.

Wzgórza polne zachodziły cieniem,
bo już słońce przechyla się chwycinnie
i ostatnie ściekają strumienie
od zórz barwnych, rozesłanych miernie

ponad wsiami ze strony zachodniej.
Znowu słów garstka zgola niepotrzebnych
pada z drogi, by rozmowę podnieść.
...bydło klęka u studziennych cembrzyn...

Zmierch odgradza pogodę niedzielną.
Odplynęła i próżne dno stuka.
Tak nam cicho, jak w próżnym kościele
pątnikowi, gdzie szedł Mszy wysłuchać.

Tadeusz Papier

ZAKSIĄŻKA

(Sprawozdanie z ankiet nadesłanych na konkurs tyg. „Wieś”)

Ogłoszony w lutym br. przez redakcję tygodnika „Wieś” konkurs na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś” przyniósł ogółem 123 odpowiedzi. Jednym z warunków konkursu było dołączenie życiorysu, któryby uwzględniał przede wszystkim następujące dane: datę urodzenia i miejsce zamieszkania, środowisko, rodzaj pracy, warunki materialne, wykształcenie, zainteresowania literackie (czy dużo do tychczas czytał, jakiego rodzaju książki, co z przeczytanych najbardziej mu się podobało). Już temat konkursu narzucał autorowi odpowiedzi i pewien określony kierunek w pisaniu swego życiorysu. Siłą rzeczy odpowiadający nastawiał się w opisywaniu swojego życia na to, co według niego było tu najważniejsze, a więc na książkę. W tym wypadku koleje życia osobnika — pierwsze kroki, szkoła, praca, były ilustracją drogi, jaką przeszedł autor od dzieciństwa do bliższego poznania się z książką. Nie taki czy inny zawód, nie to lub tamto stanowisko — lecz książka wydaje się być tu celem życia. Lektura tych życiorysów daje inne zadowolenie czytelnikowi. Nie wstrząsnęły one osobliwym niepowodzeniem życiowym autora, skoro po przez trudy osiągnął swój jedyny cel: książkę.

Konkurs miał charakter ankiety, która „miała odsonić rodzaje literackiego zapotrzebowania na prozę powieściową w kołach czytelników wiejskich” i wskazać, „czy istnieje pokoleniowa tęsknota za jakimś wspólnym wyraźnie wyróżniającym się typem powieści”. Dla lepszego zrozumienia nadesłanych odpowiedzi konieczna jest dokładniejsza analiza życiorysów. Studia nad nimi wprowadzą nas w różnorakie środowiska kulturalne wsi i wykażą ich zapotrzebowanie społeczne.

GEOGRAFIA ANKIETY

Ziemie Polski Centralnej dały najwięcej odpowiedzi. Kieleckie przysłało 20, krakowskie 18, warszawskie i łódzkie po 15, rzeszowskie 11, dolnośląskie 8, Śląsk Górny 3, lubelskie 6, białostockie 7, olsztyńskie 2, pomorskie 3, poznańskie 7; 9 uczestników nie podało bliższego miejsca zamieszkania. Z Dolnego Śląska napłynęły w przeważnej części głosy osadników, przybyłych tam z różnych części Polski.

KTO DAŁ ODPOWIEDZ

Przy czytaniu pamiętników zwraca uwagę spory procent odpowiedzi pochodzących od działaczy wiejskich — politycznych i spółdzielczych. Na 123 uczestników konkursu jest 22 działaczy, mających poza sobą wiele lat pracy społecznej na wsi. Są to zarówno starzy wciarze, jak i spółdzielcy, jak też członkowie przedwojennego stronnictwa ludowego, pracujący obecnie w Związku Samopomocy Chłopskiej. Są to ludzie, dla których praca społeczna jest tak samo ważna albo nawet ważniejsza od pracy na własnym gospodarstwie. Jeden z nich pisze: „Hymn państwowy powinien mówić, że najpierwszym celem obywatela jest praca nad budową szczęśliwej ojczyzny”. Temu hasłu autor (nr odp. 7) był wierny przez całe życie. Że jednak jego pojęcie „szczęśliwości” różniło się wielce od tej, ku której prowadził rząd, przeto — „37 razy wyzywany byłam do sądów na rozprawie... i policja nekłała mnie wizytami...”

Autorka życiorysu nr 46 pisze: „Mając 16 lat zapisałam się jako członkini do Koła Młodzieży w naszej wsi. Chociaż trudna to była dla mnie praca, bo mieszkałam daleko poza wsią, 2 km drogi. Mimo to szłam zawsze pilnie, choćby i po cięższej pracy na każdy odczyt, zebranie, próbę teatralną itp. W parę miesięcy zostałam już wybrana do zarządu i tak z kolei przez 4 lata przeszłam różne funkcje, a to sekretarka, skarbniczka, wiceprezesa, bibliotekarka. Brałam też czynny udział w kursach, zjazdach, wycieczkach...” Autorka pamiętnika mimo sprzeciwu rodziców i braku funduszy pieniężnych odbyła kurs U. L. w Szczytach. Po powrocie z Szczytów pisze dalej — „aż dotąd życie moje oprócz szarej i twardej pracy na kawałek chleba jest wypełnione nieustanną pracą społeczną. Zaraz po powrocie z Szczytów wsi i innych zorganizowałam Koło Wiciowe, zachęcając ich do tworzenia bibliotek,

urządzałam kursy oświatowe, wspólne czytania, świetlice itp. W naszej wsi również zorganizowałam bibliotekę, liczącą 200 tomów. Wysyłam dziewczęta i chłopcy do szkół rolniczych, do Uniwersytetów Ludowych”.

Ale ci 22 działacze, dla których praca społeczna stała się treścią i sensem życia, nie są odosobnieni. Idą w ich ślady inni. Wymowna jest tutaj statystyka, określająca stosunek każdego z uczestników konkursu do zagadnień polityczno-społecznych. Pośród odpowiedzi, mamy 12 pochodzących od osobników związanych ściśle z ruchem wiciowym, 28 od członków Stronnictwa Ludowego i 40 pochodzących od członków Związku Samopomocy Chłopskiej, 2 podało pracę w P. S. L.; 45 nie sprecyzowało bliżej swojej przynależności politycznej.

To ujawnianie swojej przynależności politycznej ma jeszcze inną wymowę. W 90 proc. jest to przyznanie się do działalności społecznej. Warto tutaj zaznaczyć różnicę, jakaby zaszła w wypadku porównania tej statystyki z ankietami, przeprowadzonymi w innych środowiskach, np. robotniczych. Tam przynależność polityczna określałaby najczęściej tylko stosunek uczuciowy dla ruchu politycznego, w naszym wypadku wskazuje, że osobnik poświęca w całości lub przynajmniej częściowo swój prywatny czas dla dobra gromady, czy gminy, pracując bez żadnych z tego tytułu korzyści i wynagrodzeń.

ZAWODY

Najliczniej odpowiedzieli na wezwanie redakcji słuchacze kursów politycznych, kursów organizacyjno-gospodarczych i uniwersytetów ludowych. Z tych ośrodków nadesłano ogółem 56 odpowiedzi. Poza tym wzięło udział w konkursie 31 rolników, 3 uczniów szkół średnich, 6 uczniów liceów (Rolniczo-Hodowlane — 2, Rolnicze — 1, Handlowe — 1, Humanistyczne — 1), 6 uczniów szkół rzemieślniczych, 4 studentów wyższych uczelni, 5 urzędników, 4 robotników i rzemieślników, 4 nauczycieli, 3 bez zawodu, 1 lekarz.

Ciekawe są uwagi nasuwające się przy czytaniu ankiet, urządzanych w szkołach, czy na kursach, z ankietami pochodzącymi z terenu od nieznanego osobnika, który swoją wypowiedź traktuje jako „potrzebę serca” lub pewnego rodzaju obowiązek społeczny. W pierwszym wypadku odpowiedzi najczęściej są krótkie, zdawkowe, co wstępnie widać często, że ten do pewnego stopnia „przymuszony” uczestnik konkursu boi się wziąć odpowiedzialność za swoje słowa; widać tę nieufność w niewyraźnym podpisie, braku miejsca zamieszkania np.: „urodziłam się w powiatowym miasteczku w 1927 r.” (nr. 95), lub „urodziłam się w Małopolsce”.

Nie wszyscy uczestnicy konkursu podali datę swego urodzenia. Na podstawie danych, które otrzymać można z życiorysów stwierdzić wypada, że największy, prawie 50 proc. odpowiedzi pochodzi od osobników w wieku od lat 20 do 30. A więc po pierwsze od ludzi, którzy objęci zostali już powszechnym obowiązkiem nauczania i po drugie od ludzi, którzy otrzymują pierwsze ostrogi samodzielnego życia na swojej gospodarce.

Chociaż w naszym wypadku — życiorysy mówiły co innego. W 70 proc. odpowiadający w granicach lat do 30 zaznaczali, że ziemia należy do ojca. W istocie w rodzinie chłopskiej ojciec niechętnie oddaje ster rządów w ręce dzieci. Aby zdobyć to „swoje” najczęściej trzeba przebyć długą drogę w ojcowskiej służbie: od pastucha, parobka, pomocnika, współnika gospodarza, aż do gospodarza. W naszych życiorysach to zjawisko stało się powtarzającym się.

W szczególności tabela lat uczestników konkursu wygląda następująco:

roczniki od 1929 — 1926	odpowiedzi 20
„ od 1925 — 1916	„ 56
„ od 1915 — 1896	„ 29
„ od 1895 — 1871	„ 11
Razem 116	

Rzuca się tu w oczy spory procent odpowiedzi w grupie najstarszej, powyżej 50 lat. Jest to grupa ludzi społecznie bardzo

cenna, starzy działacze ludowi, chłopscy pisarze, pracujący na polu ludowym razem z księdzem Stojalowskim, Stapińskim, świadkowie triumfalnego pochodu „Złotej Książeczki” pod chłopskimi strzechami. Są wśród nich i tacy, którzy za chlebem przewędrowali dalekie światy, byli we Francji i Ameryce i bogaci doświadczeniem i wiedzą, zbieraną po wszystkich krajach, nie ustępują dziś w pracy młodym działaczom.

POCHODZENIE

Pewien procent odpowiedzi napłynął z miast. Z Łodzi (2 odpowiedzi), Krakowa, Warszawy, Radomia, Wrocławia. Są to wypowiedzi młodych chłopów, przebywających na studiach uniwersyteckich lub innych. Ale są też odpowiedzi, pochodzące ze środowiska robotniczego i inteligentkiego, nie związane ze wsią. Mamy tu z jednej strony wypowiedź robotnika łódzkiego, interesującego się żywo, jak świadczy jego ankietą, życiem wsi, z drugiej zaś wypowiedź lekarza, również nie mogącego przejść obojętnie wobec zagadnień obchodzących wieś. Cyfrowo pochodzenie uczestników ankiety przedstawia się następująco: środowisko chłopskie (cyfra większa od trudniących się rolnictwem: są tutaj wszyscy kursисти i uczniowie szkół, chwilowo na czas nauki przebywający poza obrębem swojego środowiska, ale którzy po ukończeniu kursów np. uczestnicy szkół politycznych czy Z. S. Ch. powrócą na wieś) — 110 wypowiedzi, środowisko robotniczo-rzemieślnicze 9 wypowiedzi i środowisko inteligentkie 4 wypowiedzi. Razem 123.

KLASY CHŁOPSKIE

Nie wszystkie odpowiedzi uwzględniły dane, dotyczące stanu majątkowego. Jeżeli idzie o wypowiedzi ludzi wywodzących się ze środowiska robotniczego lub inteligentji w przeważnej części były określenia takie jak: „warunki mam trudne”, „wystarczy aby żyć”. W jednym wypadku urzędnik pocztowy podaje wysokość swoich zarobków na 2000 zł. Trzeba uwzględnić, że dane te odnoszą się bez mała do 12 miesięcy wstecz.

Odpowiedzi ze wsi przyniosły dane:

- bezrolnych chałupników — 3
- małololni od 1 do 4 ha — odpowiedzi 31. Jest tu pewien procent ludzi posiadających po 0,5 ha i mniej.
- średniacy — do 7 ha — odpowiedzi 19
- od 7 ha do 10 — odpowiedzi 2.

Jak widzimy najwięcej wypowiedzi nadeszło od klasy małorolnych. Można by stwierdzić na tej podstawie, że najwięcej działaczy pochodzi z klas pokrzywdzonych. Ale zaraz nasuwa się uwaga, że ci działacze stoją jednak na pewnym stopniu uświadomienia. Bunt bowiem (działanie ich można określić jako bunt przeciwko otaczającej ich nędzy materialnej i duchowej) nie rodzi, się nigdy w najgorszej nędzy, na samym dniu upośledzenia, ale tam właśnie, gdzie osobnik ma już za sobą pewne osiągnięcia materialne i uświadomienie swojej przynależności do grupy i środowiska.

WYKSZTAŁCENIE

Powracamy wciąż do stwierdzenia, że wypowiedzi w przeważnej części nadesłali działacze ludowi. Czy będą to ci, o których w 49 numerze „Wsi” pisze P. S. Ziarnik, że zamiast „wedle uzdolnień i zamiłowań pójść do szkół średnich, a później na uniwersytety i do akademii zostali zwykłą kolejną rzeczą na wsi. Tak po prostu — z biegiem lat w wyniku niedbaństwa lub złej woli rodziców”. W naszym wypadku — raczej w wyniku przede wszystkim złych warunków ekonomicznych, a tylko częściowo ze złej woli rodziców. Ta zła wola rodziców datuje się zresztą do czasów dawniejszych, rozbiorowych, kiedy ojcowie nie pozwalali zdolnemu dziecku iść do wyższej szkoły obawiając się, że zatraci „wiarę”, „mowę ojców”, jak to oni określali wtedy narodowość.

Wprost przeciwnie — wiele ankiet mówi o wytrwałym dążeniu młodych chło-

pów w celu zdobycia wyższego wykształcenia. „Jako syn biednych rodziców — (pisze Nr 40) — którzy mozolną pracą na szczupłym gruncie nie mogli zaspokoić potrzeb swoich własnych i dość licznego rodzeństwa (5-ro dzieci), ziemi mieli 3 morgi) nie miałem możliwości uczęszczać do gimnazjum”. Zdawało by się, że sytuacja jest już przesądzona. Chłopak jak tyła innych pozostał na wsi na zawsze. Ale później — „dzięki zainteresowaniu się mną przez nauczyciela szkoły powszechnej i działacza harcerskiego, dostałem się w roku 1937 do gimnazjum w Stryju. Po kampanii wrześniowej — będąc w służbie PW, nie mając już powrotu do domu, musiałem przekroczyć granicę węgierską. Na Węgrzech dostałem świadectwo dojrzałości typu humanistycznego z wynikiem b. dobrym”.

Warunki studiów młodzieży chłopskiej, znane z lektury Młodego Pokolenia Chłopów i innych lektur i w naszych ankietach znalazły swoje gorzkie odbicie. Zdarały się wypadki chodzenia 14 km pieszo do szkoły, ponieważ uczeń, syn chłopa, nie mógł sobie pozwolić na opłatę stacji. „Dopiero (pisze autor pracy nr 27) gdy już niepodobna było chodzić podczas mrozów i zadynek, a i nogi odpowiadały posłuszeństwa, zebrałem kilku kolegów o podobnych warunkach materialnych jak i ja i wspólnie wynajęliśmy małe, zimne mieszkanie za opłatą 450 zł na miesiąc. W tym jednak wypadku trudno jest się zdobyć na kilka zeszytów, a o podręcznikach nie ma mowy”.

Cytowany już nr 65 nie może kształcić się ze względu na zły stan materialny rodziców. Warto przytoczyć dla pełniejszej charakterystyki i tę wypowiedź. Autorka życiorysu (11 skołej dziecko — 8 morgi) spędza lata dziecięce na paseniu gęsi i krów. „Widząc starsze, uczące się rodzeństwo i ja gwałtem pchałam się do nauki, że mając 5 i pół roku umiałam doskonale czytać i pisać, czego nauczyłam się sama w domu z niewielką pomocą matki”. Długo siostrę i rodziców, by mi pozwolono pójść do gimnazjum lub seminarium nauczycielskiego. Ale ani siostra ani rodzice słysząc o tym nie chcieli, bo w tym właśnie czasie kształciło się już troje starszego rodzeństwa, brat i dwie siostry... Musiałam zostać na wsi i z rodzicami pracować na roli”.

Tylko nieliczne jednostki mogły zdobyć wyższe wykształcenie. Charakterystyczne, że wszyscy uczniowie gimnazjów i liceów zdobyli możliwość uczenia się, dzięki otwarciu po wojnie nowych szkół i internatów. Poniższa tabela wykazuje posiadane wykształcenie uczestników konkursu. Oczywiście wykaz niepełny, bo nie wszyscy uwzględnili w życiorysach przebieg swoich studiów.

Ukończona tylko szkoła pow.	— 87 uczestn.
(w tym 9 uczestników szk. powsz. niepełna);	
wykształcenie średnie (gimnazja i szkoły handlowe)	— 11 „
(w tym 6 uczestnik. szkoła średnia niepełna);	
szkoły wyższe	— 3 „
(2 uczestników wykształc. uniwersyteckie niepełne);	
ukończona szkoła powszechna plus kursa rolnicze, handlowe, ogrodnicze	— 9 „

WŁASNĄ PRACĄ

Jeden z uczestników konkursu (nr 54) pisze o swoich szkolnych latach: „W czasie pobytu w mieście nie miałem nawet najpotrzebniejszych książek, zeszytów... nie mówiąc już o tym, że musiałem się obejść bez takich luksusów, jak szalik na szyję w czasie zimy, rękawiczki, teczki, na książki”.

Trudne warunki w jakich żyje młodzież chłopska zarówno ta, która z różnych przyczyn nie znalazła się w szkołach średnich, jak i ta, która borykając się z przeciwnościami z trudem posuwa się naprzód, sprawiają, że życiorysy uczestników konkursu mają jedną wspólną cechę. Prawie każdy z nich podkreśla, że to, co osiągnął w życiu, zawdzięcza w dużej mierze swojej pracy samokształceniowej. Ten ton samouctwa jest silny szczególnie u pokolenia najstarszego. Ale i młodzi po ukończe-

niu codziennych zajęć wolny czas poświęcając wyłącznie uczeniu się. Dla wielu okres wojny był nie tylko okresem walki z okupantem, lecz także okresem pracy nad sobą. „Właśnie w czasie wojny — pisze jeden z nich (nr 15) — zacząłem się uczyć na dobre: przerobiłem spółdzielcze kursy korespondencyjne, 55 wykładów, zacząłem czytać książki obok powieściowych o treści społeczno oświatowej. Czy zawsze czytałem dobre i wartościowe książki, trudno powiedzieć, lecz bez książki żyć nie mogłem, gdzie się dało i jaką się dało czytałem”.

ZRÓDŁA SIŁY

Wypowiedzi w rodzaju wyżej cytowanej „bez książki żyć nie mogłem”, powtarzają się niemal w każdym zyciorysie. Autor odpowiedzi nr 47 pisze: „pierwsza książka jaka mi wpadła w ręce była historyczna „24 obrazki” (autora w tej chwili nie pamiętam), książeczkę tę znałem na pamięć...” Autorka innego zyciorysu (nr 8) pisze: „czytać bardzo lubię, lecz brak książek nie pozwalał mi na wybór lektury, czytałam i czytam bez wyboru — co się pod rękę trafi. Książki podobają mi się najbardziej te, które odzwierciedlają prawdę historyczną”. Lektura jest więc przypadkowa, czyta się to, co „wpadnie pod rękę”. Rozdzielniami książek są ubogie biblioteki szkolne lub bardzo rzadkie prywatne zbiory, gromadzone dorywczo latami; czasem jest to biblioteka parafialna lub biblioteczki kół wiciowych. Na kupno książek też nie można było sobie pozwolić. Gdy się dowiedziałem — pisze nr 64 — że „Młode Pokolenie Chłopów” wyszło z druku, chciałem ją przynajmniej przeczytać, a tym bardziej mieć własną, lecz

cena kilkunastu złotych uniemożliwiła jej nabycie”.

KSIĄŻKA NA WSI

Autor zyciorysu nr 12 pisze: „Jedyną rozrywką w moim życiu to czytanie”. Inni w książce widzą nauczyciela, dla innych wreszcie książka staje się ewangelią słowa polskiego. Tak pojmują rolę książki autor zyciorysu nr 46 (Górny Śląsk) pisząc: „wyszkolenie tylko niemieckie książki... gdy założyłem 1904 polską bibliotekę... to miałem 50 książek, ale te miały do 3 miesięcy 900 czytelników. Najbardziej się ludowi podobały o osobach, które brały udział przy powstaniach czy w spokojnym stanie mimo prześladowań służyły ogółowi. Tej polskiej książce mam do zawdzięczenia, że podczas światowej wojny (I) moi przedłożeni mnie szanowali, chociaż im było wiadomo, że jestem Polakiem, bo nigdy się mojej ojcowskiej mowy nie zapierałem”.

Prawie każda ankietą wyróżnia pewien specjalny typ powieści lub książki naukowej. Autor zyciorysu nr 15 stwierdza, że przewrotu w jego zainteresowaniach literackich dokonała książka J. Chałasińskiego „Młode Pokolenie Chłopów”. „To 4-tomowe dzieło czytałem z niemieckim zainteresowaniem, z początku same zyciorysy, pisane drobnym drukiem, a potem zacząłem rozmyślać wywody autora. I tu... rozpoznałem, jak piękne charaktery wieś wychowuje pomimo piętrzących się trudności, jak szerokie zastosowania ma młodzież wiejska, jakie walory wykazuje w pracy samokształceniowej i społecznej. Książka ta powinna być przeczytana przez wszystkich, którzy życiem na wsi i kształ-

ceniem jej młodego pokolenia cośkolwiek się interesują”.

Oprócz „Młodego Pokolenia Chłopów” z książek o wydźwięku społecznym budziły zainteresowanie „Pamiętniki bezrobotnych”, następnie „Listy” Thugutta, Bojko, Świętochowski, Skuza, Burek, Magryś, Wiktor, Kruczkowski. Nie były to liczne pozycje, bo i dostęp do nich ze względu na słabe rozpowszechnienie był trudniejszy.

Z literatury powieściowej najbardziej poczytni są:

Sienkiewicz (wymieniony)	— 30 razy
Prus	— 23 „
Zeromski	— 23 „
Reymont	— 23 „
Rodziewiczówna	— 20 „
Orzeszkowa	— 15 „
Orkan	— 14 „
Kraszewski	— 11 „
Wiktor	— 9 „
Tetmajer	— 8 „
Hugo	— 7 „
Dostojewski	— 6 „
Dumas	— 5 „
Hamsun	— 4 „
London	— 4 „
Tolstoj	— 4 „

Z poezji uderza wielką popularność Mickiewicza (wymieniony 15 razy), potem Kasprowicz (8 razy), Słowackiego (3 razy), Konopnickiej (3 razy). Z literatury współczesnej wymieniono tylko Fiedlera i Małewską (Autorka zyciorysu zapamiętała tytuł powieści „Kamienie wołać będą”, zapomniała natomiast nazwiska autora). Wymieniono też, jako ulubioną lekturę, Iwaszkiewicza, Przybosa, Gałczyńskiego, ale wy-

powieź ta pochodzi od ludzi po uniwersytecie.

Ogółem grupa naszych konkursowców wymienia około 200 pisarzy polskich i obcych. Należałoby dokonać jeszcze pewnej klasyfikacji czytelników. Można by wyróżnić grupę pisarzy (jeden z nich należy do OW ZZLP), która jest wprawdzie nieliczna, ale przewyższa zainteresowaniami pozostałe grupy. Druga grupa to uczniowie szkół średnich i wyższych, pokrewna zainteresowaniami pierwszej; grupa następna to działacze wiejscy, wreszcie grupa młodych ludzi w wieku lat 30, często próbująca własnych sił w piórze, ale na skutek braku wykształcenia i odpowiedniego kierownictwa, stawiająca na równi Helenę Mniszek z Zeromskim. Wypada stwierdzić jednak, że przez ciągle czytanie i w tej grupie dokonywują się zmiany zainteresowań. „Wpadły mi do ręki różne książki — pisze autorka odpow. 51 — bo nie było u nas wyboru. Gdyby nawet i był, to nie wiedziałabym wówczas jakie czytać, bo nie miałam swojego sądu o tym, a wskazać mi nie miał kto. Z początku interesowały mnie przygody z Indianami, później powieści Rodziewiczówny, Mniszkówny, dalej Dołęgi Mostowicza i innych. Ostatnio wyszukuję powieści Orzeszkowej, Jana Wilkora, Orkana”.

Konkurs przyniósł dwojaki plon; nadesłano nie tylko wiele ciekawych i interesujących zyciorysów, lecz także obszernie odpowiedzi na żądany temat. Zyciorysy i wypowiedzi te nawzajem się uzupełniają. Ważne jest to, żeby wiedzieć kim jest ten, który wysuwa pod adresem pisarzy swoje zamówienie.

Tadeusz Papier

Na marginesie konkursu „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?”

Po konkursie

Wypowiedzi nadesłane na nasz konkurs dzielą się wyraźnie na dwie grupy: do pierwszej wypadła zaliczyć nieliczne prace, usiłujące dać odpowiedź ściśle na zapytanie „jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”. Odpowiedź taką może dać obiektywna analiza czytelnictwa wiejskiego; np. jeden z nagrodzonych autorów opowiada na podstawie osobistych doświadczeń z czasu, gdy był bibliotekarzem na wsi, co chłopci najchętniej czytają i jak wyrażają swój stosunek do poszczególnych utworów; inny analizuje obyczaje na wsi, zaobserwowane w ciągu ostatnich kilkunastu lat, i z wyniku tego przeglądu próbuje wysnuć wnioski co do zapotrzebowania czytelniczego. Te głosy zbliżają się do stanowiska naukowo-badawczego. Reszta odpowiedzi, stanowiących przeważającą większość, traktuje okazję konkursu jako pretekst do opowiedzenia swego życia, swego stosunku do książki, czy nawet wyrażenia się na temat najbardziej autorowi dolegający, w przekonaniu, że powinien on stać się przedmiotem opisu baletystycznego. Sąd konkursowy nie lekcewał tych wypowiedzi, nie tylko dla ich czysto narracyjnych, czy literackich wartości, dla pasji z jaką autor zajmuje się sprawami społecznymi, ale także dla wkładu, jaki odpowiadający wnieśli mimo wszystko do problemu „powieści dla wsi”.

Ta właśnie druga grupa nieobiektywnie odpowiadających decyduje o charakterze konkursu. Lektura tych przeszło stu odpowiedzi daje zupełnie wyjątkowe wrażenie. Nie da się ono z niczym porównać; ani z efektem powieści w listach, ani z cyklem artykułów publicystycznych, choć obydwa owe tony brzmią dobitnie. Ale braknie kompozycji, — by można było nazwać to grube tomisko rękopisów powieścią; braknie jednolitości ideologii, by je nazwać publicystyką.

Jest to wrażenie chóru rozmaitych głosów; rozmowy z niespodziewanie spotkanymi, przypadkowo poznanymi nowymi znajomymi. Pochodzą oni wszyscy z jednej klasy, i wypowiadają

się na ten sam temat; gdy skończy się rozmowa z ostatnim, przychodzi nieodparta potrzeba porównania wrażenia z dwiema innymi wielkimi ankietami z przed wojny: „Młodym pokoleniem chłopów” Chałasińskiego i „Pamiętnikami chłopów i emigrantów” ogłoszonymi przez GIS. Pomiędzy w tej chwili zawartość socjologiczną materiału, dająca pole do szerokiej i gruntownej analizy. Idzie o coś innego: o atmosferę tych pamiętników, wrażenie jakie zostawia wysłuchanie wszystkich głosów. Refleksję najsmutniejszą budziły Pamiętniki Chłopów, ukazujące żywoty żalobnie zmarnowane, strawione nędzą i pracą; jednakże nie miały one wigoru rewolucyjnego, nie zawierały akcentów rewolucyjnych, ani anarchicznych. Czy rozstrzygnęło tu poczucie, że czytać, oceniać i nagradzać pamiętniki będzie przedstawiciel istniejącego porządku, że nie trzeba go drażnić, a tylko prosić o pomoc, czy była ta powściągliwość wyrazem cierpliwości? Trudno powiedzieć; w każdym razie kończyły się owe wyznania nie gwałtownym protestem, a gorącą prośbą, skierowaną do intelektualistów, polityków, organizatorów, by świat od nędzy ratowali, by obmyśleli lepszy jaki sposób podzielenia dóbr; a nierzadko modlitwa zakańczą taką opowieść o nędzy.

Bardziej pogodny był wydźwięk „Młodego pokolenia”; może wpłynął tu temat, — którym z reguły był opis pracy społecznej w terenie, organizowania świetlicy, czy teatru amatorskiego. Dużo jeszcze żalu, skargi, opisu ciężkich warunków życia; ale gdy z „Pamiętników chłopów” wiało beznadzieją, tutaj widniał już wysiłek by zastój usunąć, i te pamiętniki młodzieży opromienione są nadzieją.

Nasz konkurs powieściowy odeina się tonem optymistycznym o cały skok naprzód od dwóch poprzednich, jakkolwiek po wojnie wieś z pewnością nie jest w sytuacji najkorzystniejszej. Czy wpływa na to węższy zakres konkursu, dotyczący tylko zagadnień literackich, nie zyciorysowych jak poprzednie? Chyba nie, bo temat ankiet, bynaj-

mniej nie przeszkadza autorom w opisywaniu życia czy innych dowolnych zagadnień. Może zapytanie „jakiej powieści chce wieś”, budzi zainteresowanie w bardziej odczytanych, a więc i lepiej się mających chłopach? I to nie, bo na konkurs nadesłali odpowiedzi również autorowie w skrajnej nędzy, z trudem dopiero dźwigający się z niej. Może samo sformułowanie zapytania, brzmiące aktywnie i dotyczące tematu przyszłościowego, z natury swojej nakłaniało do wypowiedzi optymistycz-

nych? Również nie, ze względu na wymieniony już fakt, że pytanie było pretekstem do różnorodnych odpowiedzi. A może na wsi rzeczywiście jest LEPIEJ? Może dokładniejsza analiza socjologiczna wykaże przyczynę; na razie stwierdzamy tylko fakt: że ów znany nam wspomnień chłopskich ton labidzacy, melancholijny, od którego wieje przygnębiającym marazmem, w naszej ankiecie nie zabrzmiął.

Zygmunt Katużyński

Nie tylko w tradycji Sienkiewicza i Reymonta

Odpowiedzi na konkurs: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?” — czytałem jak najbardziej emocjonującą książkę. Czego bowiem w tych wypowiedziach nie ma, raz dotkniętych na ostatni guzik, jakby je pisał doświadczony skryba, raz rwanymi, pełnymi potknięć, żarliwych, dających pełnię przeżycia danego autora!...

Są plany powieściowe zabawne, dające złudzenie, jakby Mniszkówna żyła jeszcze i chciała swoją fantazję przystosować do czasów dzisiejszych, są plany patetyczne z aury Zeromskiego i Wilkora. Autorzy zniecałki w samym środku wypowiedzi robią w tył zwrot i gawędząc dają celne, piękne, wzruszające obrazy przeżycia swego życia. Mnie to wszystko razem nie tylko dawało wiele do myślenia, ale i chwyciło mocno za serce.

Nie o tym jednak chciałem pisać, choć np. zastanowiło mnie głęboko, że wszyscy chcieliby tak narodzić się wreszcie chłopskiego Sienkiewicza!...

Sienkiewicza, ale jakiego? Koloryzatora historii, epika grającego na jednej strunie przedstawiającego odwagę, fantazję staropolską i jurne zalety?

Myszę, że autorom naszym chodziło w wypadku powoływania się na Sienkiewicza o monolitowość bohatera. O chłopskiego Kmicica, o rycerza bez skazy w nowym wydaniu, wywodzącego się ze środowiska chłopskiego i walczącego skutecznie z najeźdźcą.

Uwielbienie dla Sienkiewicza, czy Rodziewiczówny oczywiście ściśle czytelniaka. Taki czytelnik nie doceni np. Orkana, no, a przy wysiłkach nowoczesnych pisarzy napewno uczyni grymas pogardy,

Zresztą ciekawe jest, że tylko dwie wypowiedzi wychodzą poza rok 1910, jeśli idzie o czytelnictwo, są to wypowiedzi Bieńka i Gębali. Przeważnie bowiem autorzy zasięgnięci swego zainteresowania obejmują czasy z przed pierwszej wielkiej wojny.

Wypowiedź Bieńka ogranicza się wszakże przeważnie do określenia stanu czytelnictwa z jego okolicy, osobistych sądów o literaturze on naogół unika. Ten zdolny i pełen pasji chłopski krytyk i publicysta jednak nie oparł się, by, zdaje się, przy sposobności relacjonowania wypowiedzi innych ludzi nie przypalić pięt nie lubianym przez siebie pisarzom polskim współczesnym.

Opinia jaskrawa, jaką on podaje o Nałkowskiej, Ważyku i Uniłowskim nie jest moim zdaniem trafna. (Mówię na podstawie własnej obserwacji). Porównanie choćby czytelności książek Ważyka i Uniłowskiego świadczy o błędzie spostrzeżenia. „20 lat życia”, np. Uniłowskiego czyta się z zajęciem i lekkością. Jest to książka prosta w konstrukcji, plastyczna w ujmowaniu zdarzeń, znakomita w ogóle powieść realistyczna, jakiej chce Bieńka. (Czyżby Bieńkowi wpadły inne, reportażowe książki Uniłowskiego, że tak schlaśtał i nie ocenił znakomitego, młodo zmarłego autora?).

Wypowiedź druga, która mówi o powieści powojennej polskiej, to wypowiedź znanego ludowego poety, Stefana Gębali. Gębala ogranicza się jednak też i traktuje tylko o powieści chłopskiej, ściśle o powieści opisującej jego najbliższą ojczyznę. Mówi więc o Wiktorze, o Burku i o

mnie i choć kreśli bardzo piękne i subtelne uwagi na marginesie przeczytanej lektury, można to uważać przecież raczej za hold oddany pryncypiom niż za wypowiedź obiektywną.

Zastanawiające jest, że żaden z uczestników konkursu (a są między nimi ludzie szeroko odczytani i wykształceni) nie docenił wysiłków powieściopisarzy naszych przedstawiających życie chłopskie ostatnich lat przedwojennych, a przecież tak wszyscy co najważniejsi, domagają się powieści z tego okresu historii.

Nikt nie wymienił nazwisk — Kadena-Bandrowskiego, autora „Mateusza Big-Bigdy” i Kowalskiego, autora „W Grzmiącej”, Czuchnowskiego, autora „Pieniędzy”, niżej podpisanego, Mortona i kilku jeszcze.

Być może, że książki, o których wspomina, nie dotarły na wieś. Przyszły pi-

sarz, epik, o którego tak woła współczesne pokolenie chłopskie, nie może się jednak w pracy swojej oprzeć tylko na tradycji Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego i im pochodnych, a nawet Szolcchowa (jak chce Bieniek) musi poznać i ambitne wysiłki pisarzy tych, których wspominałem.

Jeśli zresztą o moje najbardziej osobiste zdanie chodzi, to uważam, że w ogóle, twórczość powieściowa chłopska jest tak skromna, że każda tradycja może przynieść swoistą rewelację, nie tylko tradycja Sienkiewicza, ale nawet tradycja Krasickiego i Kraszewskiego. Wielkie, epokowe dzieło może jednak powstać tylko wtedy, gdy zastosujemy w powieści chłopskiej nie tylko chwyt tradycjonalne, ale wielkie zdobycze przedwojennej powieści europejskiej.

Stanisław Piętaś.

Tęsknota do wielkiej powieści wiejskiej

Konkurs naszego tygodnika pt. „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?” został rozstrzygnięty. Przysłano na niego sto kilkanaście prac z różnych okolic Polski. Wykształcenie uczestników konkursu wahadło się od inteligenta ze średnią szkołą do chłopca samouka. Nasuwa się pytanie, czy to plon duży, czy mały? Czy ma on jakąś wartość i wymowę społeczną, czy nie ma?

W stosunku do olbrzymiej masy wiejskiej stanowi to ilościowo wynik bardzo skromny. Miliony ludzi i setka wypowiedzi. Niemniej jednak, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że u nas — mimo wszystko — pewna ruchliwość intelektualna cechuje jeszcze zresztą grupkę ludzi, a gotowość do dzielenia się własnymi myślami z kim innym na odległość w stosunkach wiejskich jest bardzo trudna, to owoc konkursu nie jest pośledni.

Dodać jeszcze trzeba dla większej wyukłkości zjawiska, że temat poddany rozważaniom, samo zagadnienie — jest z gatunku tych, które w splotach ważnych problemów chwili są raczej niepopularne, odłożone na dalszy plan — stanowią pewną luksusową nadbudowę, od której odgradzają się silniejsze sprawy dnia: jak mieszkać, co jeść, co robić?

Innymi słowy, w dzisiejszej powojennej atmosferze przygnębienia i apatii listy na temat książki są zdarzeniem o swoistej, społecznej wymowie.

Rozważania na temat książki wiejskiej, czy książki dla wsi posiadają, oprócz in-

nych, jeden wspólny wszystkim pracom czynnik o kapitalnej wymowie: wieś pragnie takiej książki, takiej powieści, któraby zespół jej zagadnień ostatnich, dzisiejszych objęła najpełniej, najszlachetniej — podniosła je do poziomu spraw stanowiących element ogólnopolski, ogólnonarodowy, niemal ogólnowiatowy.

W takiej pracy wieś powinna posiadać perspektywę historyczną, perspektywę społeczną, światła i cienie rozłożone na wielkie płaszczyzny, słowem musiałby to być epos, którego doniosłość społeczna, kulturalna i historyczna mogłaby być mierzona wielkimi poematami antycznymi.

Zdaje się również nie ulegać wątpliwości, że w utworze o tak pojętej konstrukcji nie ma miejsca na różne wywijasy i łamańce awangardowe. Wieś pragnie rzeczy prostej, jasnej, klasycznej, surowej niemal. Jest w tym pragnieniu uwidoczniona troska o czystość i monumentalność.

Ramy niniejszego szkicu nie pozwalają na analizę szczegółową tego interesującego zjawiska. W odcieniach jego musielibyśmy zwrócić uwagę na dwa fakty, które się wybijają na plan pierwszy; jeden to byłaby świadomość dotychczasowego upodlenia wsi w porównaniu z innymi składnikami społecznymi, a więc chęć kompensacji, a drugi to odsunięcie się w cień Reymontowskich „Chłopów”, ich jak gdyby niewystarczający rezonans literacki i kulturalny, podający problemy niewspółczesne, zapóźnione i odległe.

Teodor Goździkiewicz.

Wieś czyta klasyków

Dzieła klasyków żyją. Żyją dla masy chłopskiej, dla masy stanowiącej 70 procent społeczeństwa. Fakt wielkiej popularności Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Reymonta, Mickiewicza, Orzeszkowej jest dla miłośników naszej dawnej literatury zjawiskiem nader miłym i krzepiącym. Wielu z nas uległo bowiem obawie, że z likwidacją dawnych „lepszych sfer” i wysunięciem się na pierwsze miejsce w życiu narodu warstw młodszych znajdziemy się wobec próżni kulturalnej. Obawy te okazują się jednak przesadne: czytelnik wiejski najchętniej bierze do ręki dzieła naszych klasyków, najbardziej pociąga go literatura ojczysta, co jasno widać z faktu, że najczęściej wymieniani z pisarzy obcych Victor Hugo otrzymał mniej głosów niż poeta bynajmniej przecie nie łatwy — a mianowicie Słowacki.

I czy warto marnować papier na przedrukowywanie takiej futurystycznej bzdury jak „Słowo o Jakubie Szeli”, skoro okazuje się, że wieś pragnie nowych popularnych wydań Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Orzeszkowej, Mickiewicza,

Kraszewskiego, Słowackiego? Okazuje się, że wieś myśli zdrowiej i ma lepszy gust literacki niż jej rozmaici „opiekunowie”.

Poczytność klasyków jest zjawiskiem bardzo dodatnim również z punktu widzenia przyszłości naszej literatury, jest bowiem zapowiedzią, że nowy pisarz chłopski teraz dopiero dochodzący do głosu będzie szukał wzorów dla siebie, będzie szukał miary dla swojej twórczości w spuściźnie literackiej XIX wieku, wieku najwspanialszego rozwoju naszej literatury. Nawijamy do tradycji literackiej najbogatszej i najcenniejszej. Mamy prawo spodziewać się, że nadejdzie nowy pisarz i nowy czytelnik, dla których awangardowa czkawka i papuzie snobowanie się na zagranicznych jednosezonowych ciekawostkach będą „jako miód brząkająca i cymbał pusto brzmiały”. Wejście mas ludowych w kulturę narodową nie tylko nie grozi opóźnieniem jej rozwoju, ale nawet stać się może przyczyną nowego wspaniałego jej rozkwitu.

Stefan Lichański.

Powieść obrazem życia

Przy zapoznawaniu się z pracami konkursowymi szczególnie uderzył mnie jeden rys, przewijający się przez wszystkie prawie wypowiedzi: mocna, wzruszająca wiara piszących, że ich „zamówienie” na powieść zostanie spełnione. Takie postawienie sprawy zobowiązuje pisarzy. Mogą się oni przekonać na materiale konkursowym, jak bardzo serio czytelnik wiejski traktuje pracę literata.

Gdy zwróci się uwagę na to, że wieś ma słabo rozwiniętą zdolność do myślenia pojęciami, że wiedzę o życiu buduje sobie ona ze spostrzeżeń konkretnych, to widzi

się, czym dla niej jest powieść. Właśnie ten rodzaj literacki przy pomocy swoich narzędzi znakomicie nadaje się do wypełnienia tych luk w świadomości człowieka wsi, które z konieczności powstają przy braku pogłębienia naukowego. Chłop chce znać historię własnego narodu, podkreśla jednak ciągle, że winna w niej być pokazana i rola warstwy chłopskiej. Marzy mu się powieść, której autor miałby ambicje Kraszewskiego. Potrzeba stworzenia sobie obrazu współczesności przebijającego z wielu prac. Jest tu jakieś ufne wyciąganie rąk do ludzi, którzy z racji swych zdolności

twórczych mają mu pomóc do zorientowania się w narastającym chaosie współczesności. Wieś pragnie wiedzy o dniu wczorajszym, pragnie wiedzy, która obrazem literackim wtarałaby się w jej świadomość.

Powieściopisarz to dla niej ktoś, kto stwarza uporządkowany obraz świata, daje jego konkretną wizję już bez lub i niedomówień.

Leonard Sobierajski.

O chłopskim uporze

Ankiety uczestników konkursu pochodzą przeważnie od działaczy ludowych, a więc od tych, którzy w pewien sposób nadają ton życiu gromadzkemu. Ludzie ci nie ukończyli żadnej wyższej szkoły. Stanowiska przewodników gromady zdobyli tylko dzięki własnej pracy. Start mieli jednakowy. „Nie dla ciebie szkoła... nauka, biedny chłopski synu” — zaczyna jeden z nich swój życiorys. „Po skończeniu całej szkoły powszechnej, nie miałem warunków, abym mógł się dalej kształcić” — pisze inny.

Autorka życiorysu Nr 123 pisze:

„Pomimo najszerszej chęci nie mogłam się dalej uczyć. Matka moja będąc robotnicą, żyjąca z pracy rąk, a mająca nas cztery, nie mogła mnie dalej posyłać do szkoły”. Wymowna jest wypowiedź autorka odpowiedzi Nr 4: „Warunki materialne: ziemi 55 arów, z czego połowa pastwisko... wykształcenie: na taką stać byłoby rodziców szkołę powszechną w tym to Dziebałtowie”.

Ale stwierdzenie swojej nędzy i niższości jest u autorów konkursowych odpowiedzi pierwszym krokiem dźwignięcia się wwyż. Ponieważ nie można zdobyć wiedzy drogą normalną, zdobywa się ją drogą o wiele trudniejszą, samokształcenia. Chłopi uczą się sami. Czytają książki,

nawijają kontakty osobiste z działaczami, pisarzami i politykami.

Awans na wsi zdobywa się własną pracą. Samoutwo jest formą walki z zastanym porządkiem, który chce się przezwyciężyć. Ktoś urodził się jako syn majarolnego i ta sytuacja społeczna pozostawia go w tej grupie w większości wypadków do końca życia. Ale rodzi się bunt, chęć wiedzy, czytanie, podróże za chlebem i oto po latach zmiennych powodzeń mamy typ chłopa o swoistej postawie filozoficznej zdobytej na podstawie doświadczeń długich lat, radnego, inteligentnego, odczytanego i często piszącego.

Droga do takiej pełni życia jest długa. Potrzeba do tego wiele uporu i wytrwałości. „W mojej pracy umysłowej — pisze autor życiorysu Nr 6 — w ogóle na wszystkim znać brak czasu. Nawet i na należyte opracowanie tego konkursu znalazłem trochę czasu od 10 wieczór do 1 w nocy”.

Dzięki tym nocom nieprzespanym i wytrwałemu ślęczeniu nad książką tworzy się właśnie typ chłopca polskiego, jakiego widzimy opisanego w życiorysach naszej ankiety, może czasem błędzącego, ale do późnej starości pełnego zapału i energii, godnie reprezentującego twórczy rozmach gromady wiejskiej.

Tadeusz Papier.

LISTA UCZESTNIKÓW KONKURSU

ogłoszonego przez Redakcję tyg. „Wieś” pt. „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”

Anuszewski Franciszek — Garbuły Duże, woj. Warszawskie; Badura Augustyn — Raciborz, Górnym Śląsk; Baran K. — Barc Jan — Czudec, Rzeszowskie; Bednarzówna Modesta — Zimno, Tomaszowskie; Biernacka Hanna — Ujazdowo, Warchanowskie; Bieniek Józef — Librantowa — Nowy Sącz; Biłka Henryk — Sucha k/Żywca; Błachowicz Józef — Tuszyń, pow. Mielec; Błachowicz Stanisław — Tuszyń, pow. Mielec; Budziński Fr. — Kraków; Cebula Edmund — Tuł, Warszawskie; Ciechociński Emil — Gdańsk; Cielebias Franciszek — Konin, Częstochowskie; Cieślak Marian — Poznań; Czula Maciej — Brzesko, Krakowskie; Carnecka Czesława — Jarkuty Duże, Warszawskie; Cyran Bolesław — Janów Lubelski; Demska Cecylia — Jarosław; Drąszkiewicz Telesfor — Reszel, woj. Olsztyńskie; Dyląg Piotr — Michałowice k/Krakowa; Dymek Cz. — Radom; Gałzka Władysław — Bratoszewice; Gębala Stanisław — Żabno; Glowacz Janina — Nowy Górnik, Wrocławskie; Głuszak Stefania — Skrzyszów, Tarnów Dolny; Golla Alojzy — Lutowo, woj. Bydgoszcz; Góra Czesław — Ragórno, Łódzkie; Grygolek Szymon — Rożno, Kujawy; Grzyb Stanisław — Baranów, Warszawskie; J. Dorota — Zalesie; Jabłońska Maria — Szymanowice, Sandomierskie; Jandy Józef — Poznańskie; Jaśmiński Fr. — Kołtuń, Siedleckie; Kędrzynowa Stefania — Śmieć — Krakowskie; Kiszka Stanisław — Piątkowa, Rzeszowskie; Knociński Stefan — Września, Poznańskie; Kostrzewa Felicya — Sławęcin, Jasło; Kotalska Maria — Huczki, Radomskie; Kotarba Adolf — Chrzanów, Warszawskie; Kowalski Mieczysław — Chroberz, Kieleckie; Kozak Lucjan — Zamość, Lubelskie; Kozar Jan — Wiadernie, Łódzkie; Kraszewski Henryk — Rastembork, Mazurskie; Krysińska Irena — Niechodzin, Warszawskie; Krawczyk Józef — Struga, Łódzkie; Krowicki Eugeniusz — Kępno, Poznańskie; Kucała Marian — Kraków; Kuchta Władysław — Mołodutyn, Chełm Lubelski; Kulik Franciszek — Bujak, Kieleckie; Kulikowski Franciszek — Jurówce, Białostockie; Lehit Józef — Wiącki, Częstochowskie; Litwiniak Marian — Mokranv Stare, Lubelskie; Labno Stanisław — Skrzyszów k/Tarnowa; Lubiński Ryszard — Turośń, Białostockie; Maniński Tymoteusz — Środa Wielkopolska; Marciniak Leokadia — Gałkówka, Łódzkie; Marciniak Józef — Łódź; Mazurówna Cecylia — Jadwigów, Kieleckie; Matuszewska M. — Namysłów, Dolny Śląsk; Matej-

kowska Irena — Bronowo, Łomża; Michałek Henryk — Słuszyn, Kieleckie; Minda Jan — Zalesie; Mrugała Lucjan — Łętkowice, Miechów; „Nimfa” — Zalesie; Nogala Józef — Borek Lipiński k/Sieradza; „Nr. 87” — Jurówce, Białostockie; Okupski Seweryn dr. — Warszawa; Olejniczak Jan — Łowicz; Opałkówna Józefa — Ujny, Kieleckie; „Orli Szpon” — Kraków; Osmenda Walery — Olkusz; Ożarówski Piotr — Złaków k/Lowicza; P. Lucjan — Zyski, Białostockie; Paleczny Stanisław — Tarnawia Dolna, Krakowskie; Papko Bronisław — Łyski, Białostockie; Parzyszek Kazimierz — Wiązowna, Warszawskie; Piętaś Franciszek — Wielowieś k/Sandomierza; Piotrowiczówna Janina — Ujny, Kieleckie; Plesiński Jan — Dziebałtów, Łódzkie; Plewa Jan — Zalesie; Płonka Piotr — Piekary Śląskie; Pociąg Andrzej — Niechobrz, Rzeszowskie; Poetyło Anna — Ostrów, Chełm Lubelski; Prochalówna Wiktoria — Garlica, Krakowskie; Próchnicki Wojciech — Szamotuły, Poznańskie; Pustelnik Zdzisław — Zapole; Rachowicz Władysław — Bolesławek k/Odry; Rakocki Józef — Kacice, Pułtusk; Rogowski Stanisław — Gadawa; Rokicka Janina — Księżnica k/Lublina; Rozbicka Alicja — Zalesie; Rybczyński Władysław — Brzeziny, Kieleckie; Sabura Józef — Gdynia; Sadowska Stanisława — Łowicz; Sałuda Bronisław — Mystkowice, Łowicz; Sanocki Władysław — Modrów, Krosno; Sarama Stanisław — Łódź; Sarnowski Alfred — Jarkuty Wielkie, Ciechanów; Sikorska Wanda — Warszawa; Simbierowicz Kazimierz — Hieronimów, Kieleckie; Skoniecki Zygmunt — Czerwonka, Warszawskie; Skuiski Seweryn — Karnkowo, Pomorze; Sobek Jan — Handzlówka; Stanikówna Barbara — Tarnawice Stare, Tarnowskie Góry; Stolarzówna Maria — Oleśno, Krakowskie; Strugała Czesław — Julianopol, Wieluń; Średniawa Michał — Tworkowa, Krakowskie; Szmigiel Antoni — Babica, Rzeszowskie; Szmigularz Mikołaj — Wroslaw; Szczepalik Mieczysław — Biały Kamień; Szymkowi Tomasz — Chruscice, Wrocławskie; Szczurówna Danuta — Babinie, Kieleckie; Staszczak Helena — Nowy Górnik, Wrocławskie; Strojny Henryk — Sielec, Kieleckie; Strzębała Jan — Mąchoć, Kieleckie; Urbaniak Stanisław — Piaski, Poznańskie; Wasik Stanisław — Jadwigów, Kieleckie; Wilk Jan — Łętkowice, Miechów; Wojciechowski Józef — Cieplice, W. S. — Popów, Gostyń; Wyrobek Piotr — Kraków; Zugaj Władysław — Wierzchowiska.

Adam Szczerbowski

STANISŁAW CIESIELCZUK (1906—1945)

poeta godności ludzkiej

*Silo ludzkiej, walczącej godności,
Daj do końca mi wytrwać:
W smutku wielkim, czy w wielkiej
radości,*

*Póki życia wre bitwa,
Twą zaranną, rzeźwą gwiazdę gościć
Jak myśl wielką w swym wnętrzu,
Powodzenia głupcom nie zazdrościć,
Choćby wito się tęcza.
Dla twojego płonie wojownika
Inna tęcza — ostroga:
Gdy światłem jednego choć promyka
Odezwiész się w swych wrogach.*

W zwiezłych i energicznie akcentowanych słowach tego wiersza — jednego z ostatnich, jakie napisał — zawarte jest jakby wyznanie wiary, zawołanie poetyckie Stanisława Ciesielczuka, poety, który odszedł od nas zawczasem, bo zanim zdążył odsonić nam to wszystko, co „poza burzą i ciszą” zdołał wyodrębnić „światło jego oczu”, ale dość wcześnie, aby zająć stałą pozycję w poezji dwudziestolecia międzywojennego.

Stanisław Ciesielczuk zmarł na gruźlicę płuc 26 listopada 1945 roku w domu rodzinnym w Hrubieszowie. Wybuch wojny przeżył w Warszawie, skąd udał się do rodzinnego miasta, gdzie większą część lat okupacyjnych spędził; wiosną 1944 roku, kiedy w Hrubieszowie do straszliwego ucisku hitlerowskiego doszły mordercze rzezie szerzone przez nacjonalistów ukraińskich, powrócił do stolicy. Był już chory, kiedy się z nim widziałem po raz ostatni, miał szarą, pobrużdżoną twarz, a ubranie przez domorosłego krawca z samodziału uszyte podkreślało przeraźliwą chudość ciała. Tylko w oczach miał jak zawsze jasne, siwe błyski, kiedy mówił, a mówiliśmy prawie wyłącznie tylko o tym, czym w tym czasie żyli wszyscy: o bliskim końcu i idącej nowej rzeczywistości. Chorego zastało powstanie, po którego upadku został wywieziony na Podhale, gdzie nastąpiło pogorszenie stanu zdrowia. Wrócił do rodziny, na Sławęcina (wieś, przedmieście Hrubieszowa) i tam już przebywał do śmierci. Podobno zasilek przez Związek Literatów przyznany przybył w dzień pogrzebu poety.

Nie spotkałem — może to jednak tylko przeoczenie *) — w naszym bogatym już powojennym dorobku krytycznym, w rosnących wciąż stosach zadrukowanego papieru, ani jednej choćby tylko obszerniejszej wzmianki o tej, jeszcze jednej ofierze wojny, nie wspominając też o śmierci poety *Diariusz kultury polskiej* za rok 1945 tak starannie przez P. Grzegorzczaka w *Twórczości* zestawiony, a to zapewne z tego powodu, że nikt z tych, którzy o śmierci Jego wiedzieli, nie pomyślał o tym, aby fakt ten drukami utrwalił. Dlaczego tak się stało, nie trzeba dochodzić, być może, że dzieło dzisiejsze, jego sprawy i troski, nazbyt absorbujące uwagę piszących, nie pozwoliły na to, choć trudno się nie dziwić, że tak się stało, jeśli się zważy, ilu sprawom, jakże odległym od t. zw. nurtu życia czas się i miejsce poświęca, ilu autorom robi wyróżnienie ich łokciowymi, do znudzenia rozwlekłymi recenzjami, nieprzelicznymi wzmiankami, nawet polemiką, nawet odślanianiem ich słabości...

Ale daleko ważniejszym od sprawy t. zw. reklamy literackiej, potrzebnej bezwarunkowo żyjącym, a błędnej tym, którzy odeszli, jest pominięcie Stanisława Ciesielczuka, jego postawy twórczej w dyskusjach o neohumanizmie naszej doby, przy omawianiu zagadnienia „rzeczy ludzkiej” w poezji, że użyję tu tytułu zbioru poezji poety człowieka obecnie. Czy dobro sprawy, jej należyte naświetlenie, owo szukanie związków, koneksji, antycedencji tak charakterystyczne dla każdego nowego kierunku, nie wymagałyby, aby przy rozważaniu dorobku dwudziestolecia międzywojennego sięgnąć do tego poety, który twórczości swej istotą, swymi najwyższymi osiągnięciami do tego kierunku należy, wiele i wielu wyprzedza i prześciga, wiele z spraw, które tkwią we świadomości dzisiejszych twórców już przed nimi wydobyl na jaw, przeżył, przewyciężył, odszedł od nich lub zmógł i przetrwał ogniem wewnętrznych doświadczeń.

A zatem pominąć go nie można, nie można przeoczyć, że ten poeta wśród współczesnego mu pokolenia, stanowisko to, ten poziom „rzeczy ludzkiej”, zajął bodaj że pierwszy w tych czasach i to idąc nie za regulatorem mody czy z prądem, lecz po rozważeniu możliwości innych, po odrzuceniu ich kolejnym, jako groźących kwietyzmem, zatrącając osobowości, człowieczeństwa, „ludzkiej, walczącej godności”.

*) Autor przeoczył istotnie artykuł prof. J. Krzyżanowskiego zamieszczony w „Tygodniku „Warszawskim”, poświęcony twórczości Stanisława Ciesielczuka (przypr. red.).

Tak więc w tym dochodzeniu, w tym dokopywaniu się treści człowieczeństwa („I myśląc patrzę wzrokiem wbitym w ludzi i w życie tak, że inny w trwodze ażby się zwinął” — wiersz wstępny do zbioru *Teatr Natury*) wyzwał się Ciesielczuk kolejno z wpływów tak widocznych w pierwszych tomikach jego wierszy, że wspomnę tylko o wpływie Staffa (bardzo powierzchownym zresztą), Leśmiana, Tuwima — i najsilniejszym Hamsuna i to nie tylko Hamsuna — prozatora, ale i Hamsuna — liryka. Ale to rozstawienie się kolejne z tymi czy innymi jeszcze twórcami, nie było odrzucaniem po najskrupulatniejszym wykorzystaniu, ani obalaniem bałwanów, którym się biło pokłony — Ciesielczuk rozprawiał się z nimi, spalając ich wpływ w wielostopniowej temperaturze swej myśli — on się w ogóle palił wciąż błajam plomieniem w sensie wyjątkowej pracy myślowej — i wtedy spod osypujących się żużli wydumchiwał wieczne tłący się żar jednej twórczej myśli, bliski w tej wyjątkowej pracy temu, którego się umyślnie nie wyliczyło wyżej, bo nie o wpływ tu właściwie idzie, a raczej o najprawdziwsze powinowactwo — Norwidowi.

Więc intelektualista? I tak i nie. Nie, bo nie z tych, u których proces artystyczny obiektywizacji wyprzedzony jest przez poznanie intelektualne, będąc czymś wtórnym, ilustracją, martwą wodą, przeintelektualizowaniem, tak, jeśli w tym intelektualizm widzieć będziemy przede wszystkim podstawowość, spontaniczność, zasadę myślowego oglądu rzeczy... Dla Ciesielczuka w najwyższych jego osiągnięciach, u kresu drogi poetyckiej, „kiedy krew lat przeżytych w czystą ścięła się sól” — biel czystego poznania rozpościera się na polach poezji, ukochana biel, jednobarw, „śnieg wieczności”.

Odkryć więc najdalszych szuka dusza poety, ale na tych drogach musi zasnąć gorzkość samotnictwa. („Tak daleko zaszedłem, że już muszę być sam.”). Pisał Novalis, młodo zmarły poeta-myśliciel, że osiągnął szczyty czystego poznania, niedostępne innym, Zaratustra — Nietzsche zstępował z górskiej pustelni, aby kazać i nauczać, i znów wracał w odludzie po najwyższą, siódmą samotność, a z nimi i obok nich tylu innych unosiło się „nad głębiąmi”, „nad wirchami”, turniami, toniami, za pan brat chodząc z absolutem i na przemian obwieszając ludziom zdobyte prawdy — mówi się (plecie najczęściej) o jakimś nadrzędnym stanowisku, o stanowisku „humorysty” — ho ho zaśmiałby się Ciesielczuk tym śmiechem, który był śmiechem zrozumienia, jak się śmieje łapiąc przeciwnika „na gorącym uczynku”, śmiechem krusząc bezduszną formułki i teoryjki literackie, owe koncepcje bezkrwiste, biurkowe, belferskie... U Ciesielczuka takie wynoszenie się „ponad”, takie „przewyciężanie” — to właśnie nie „ponad” i nie „przewyciężanie”, ale postawienie się na jednej płaszczyźnie ze światem, tylko oglądanie go nie „spod przymrużonych powiek”, ale szeroko otwartymi oczami i witanie bólem tych nowo odkrytych łądów:

*Nie nasyćisz mnie, burzo, nie napoisz
mnie, ciszo!*

*Tak daleko zaszedłem, że już muszę
być sam,*

*Poza burzą i ciszą inne sny się kołyszają —
Wyodrębnia je światło moich oczu:*

*Wydrewnia je światło moich oczu:
dwu lamp...*

*Tu już nic mnie nie rani, tu już nic
mi nie kłamie, —*

*Krew lat moich przeżytych w czystą
ścięła się sól.*

*Gwiazdy, jasne dla innych, dawno
zgasły już dla mnie —*

*Widzę gwiazdy, co przyjdą — bólem
witam ich ból.*

*I bez słowa mi wszystko opowiada
swe dzieje...*

*Śnieg wieczności bieleje —
Bólem witam jej ból...*

Więc nie taka czy inna teoria, ale życie, życie ludzkie i życie świata, życie duchem nieujarzmionym do końca, heroiczne, „otchań za plecami mając”, bo „w natężeniu najwyższym śmiercią zakwita życie”.

*Mrok ostatni błyska jasności
pierwotną smugą, —*

*Myśl, zmieniając swej nazwy
lachman na samym szczyście,*

*Jest żywiołu — ach, już nie formą
wolnością drugą.*

I otóż to właśnie, poprzez myśl do żywiołu, do ostatecznej granicy, do sensu, nawet po odrzuceniu samego „lachmana — nazwy”, do samego dna, do „nuty”:

*Nie ziemia powietrzem osnuta,
Nie los ludzkości, zwierząt, drzew —
Lecz ta, co we mnie dźwięczy nuta,
Lecz ten, co we mnie tańczy śpiew!*

*Nie gwiazdne, dalekie przestrzenie,
Nie czas, rozbity na miliard scen —
Lecz to, co we mnie gra marzenie,
Lecz ten, co we mnie świeci, sen!*

Lecz zanim przyszło takie rozróżnienie siebie w bycie, myśli w absolutie, to objawienie się „muzyki stuleci”, bo „tylko przez pieśni krew ludzka dla nieskończoności mogła być zbawiona”, zanim zrodziło się przeświadczenie własnego posłannictwa — wybawienia dużo było dróg, stacji, odwrótów, zmagania się ze światem i z sobą.

Z początku, w zaraniu lat wcześniej rozbudzonego do marzeń wiejskiego chłopaka świat był „za oknami chaty, świat naiwnego realizmu, „cztery bielone ściany i dwa niewielkie okna”, świat zaczarowany „i znany i nieznan”. Życie na nim rozdzielało się na jawę baśni i baśń o jawie, „chaty w obłokach”, i „wieś pod księżycem”, zanim młodzieńczego marzyciela nie porwał za sobą „Pies kosmosu” (*), który „Palącym językiem wielkości Duszę do kości liże”. Ale to technicznie nieskończoności, które owiało poetę, nie czyni go niewolnikiem, nie zmusza do biernej kontemplacji świata, do posseistycznej zadumy, przeciwnie, ono go uaktywnia, urzeczywistnia w świecie, co dotąd był baśnią o sobie tylko — stąd humanizm, nie uniwersalizm autora „Psa Kosmosu”.

*Dusza musi pięściami skrzesać
Zachwytów żorze iskrzaste*

I sztyletami płomieni

W mgły jak zębami się wgrzyzać.

*Niedościgłość dali tnę w skronie,
Trzę sztyletów rozspiewany płomień,
Ostatnią zasłone drę!!*

Dużo w tym jeszcze popisu krasomówczego, retoryki, którą rychło przewycięży zasada ograniczania się, kondensacji. Takim popisem jest także „Piana na ustach” w tym samym zbiorze, której autor, dwudziestoletni wówczas, mówił mi po jej napisaniu, że pisał z taką pasją „chlupską”, jak nigdy przedtem, a która jest młodzieńczym holdem, złożonym wszelkim izmami, więc lucyferyzmem, prometeizmem, nihilizmem nawet — ale bardziej programowym jest z tego okresu również pochodzący *Głos przestrzeni*, wiersz przeciwnie udźwięczony, choć nie unikający dysonansów rytmicznych:

*Słońca krwi w serce nalej,
W mleku gwiazd duszę skąp,*

*Śpiewaj, leć, coraz dalej,
Sonduj snem życia głębi!*

*Suknem tęcz oczy zwiąż,
Daj się wieść złotym mgłom,*

*Złote mgły ciebie zbawiają:
Miniesz mrok, miniesz zgon...*

*Ciesz się, cierp, wznieś się, szalej,
Gwieźdź się, świeć — ucz się mrzeć —
Śpiewaj, leć, coraz dalej,
Leć!*

Jest w tym „Pse kosmosu” ogłoszonym w r. 1929 w hośickowskim cyklu „Biblioteki Kwadrygi”, równocześnie z tomami innych członków tej grupy, jak Dobrowolski, Flukowski, Maliszewski, Rydzewska, Słobodnik, o których formalnych osiągnięciach pisałem bodaj że pierwszy w tym samym roku w szkicu „Dziesięciolecie asonansu” — trochę holdów złożonych modzie, czy panującym w ugrupowaniu poglądom, znajdzie się leśmianowski uniwersalizm w interpretacji J. N. Millera, tuwimowski witalizm z 4-go tomu jego poezji („Ognisty ogień skacze na jurną kobyłę”, wiersz „Oddech” por. Tuwima *Biologię*), Wierzyńskiego juvenalizm („Młodość życie bogaci złotą siłą oliwą, Młodość kapie puls świata w swoim świeżym rytmie.” — wiersz *Młodość*) i może inne jeszcze wpływy i reminiscencje dałoby się zinventaryzować, ale sądzę, że wystarczy na nie wskazać, jako nieodłączne od poszukiwań nowych dróg wyrazu poetyckiego, od zachłystywania się słowem usłyszanym i chęcią powtórzenia go we własnej tonacji.

Są jednakże ważniejsze sprawy, które wykraczają za granice chwilowej mody, wiążą poetę z grupą młodego wówczas pokolenia poetyckiego, z którego wspólnie wystąpił, z grupą Kwadrygi, wywieszającą sztandar „sztuki społecznej”, „romantyzmu pracy” i wywijającą nim przed

*) Tytuły kolejnych zbiorów poezji Ciesielczuka: *Chaty w obłokach*, 1927; *Wieś pod księżycem*, 1928; *Pies kosmosu* 1929; *Głazy i struny*, 1931; *Pentaptyk lapidarny*, 1935; *Teatr natury*, 1937.

oczami bezprogramowej jakoby sztuki Skamandra. Wyrażało się to już w samym zatytułowaniu zbioru, więc problematyka społeczna w miejsce narodowej („Pożegnanie Termopil” St. R. Dobrowolskiego), romantyzm miasta i kult pracy („Czarna Beatrycze” — węgł Maliszewskiego, „Miasto” Rydzewskiej, „Słońce w kieracie” Flukowskiego). W zgodzie z tym nachyleniem społecznym, z tymi programowymi dążnościami grupy Ciesielczuk, wywodzący się ze wsi i z ziemi, ogłasza szereg wierszy pod wspólnym tytułem „Złocista sieczka”, poświęconych *Sieczkarni, Płodom, Słomie...* Objawiają się w nich oczom poety, który dotąd przyrodę miał za tło młodzieńczych zamyśleń, smutków i tęsknot, *Płody ziemi* dojrzewające „pod nieba wzrokiem czujnym:

*Śliwom gruczoły śliwek
wyskoczyły na wierzch,*

*Twarde gruzły, zielonym
napęczniałe mleczem,*

*Maliny, bosc nogi w gęstej
gubiąc trawie,*

*Grudki jagód malutkich w dnia
nurzają rzecze.*

i najważniejszy z nich, chleborodny „Kłos” pszeniczny:

*Nad dalekim lasem płynął księżyc,
Świat mi w piersiach drżał*

gołębiem białym,

*Nie umiałem miłości zwyciężyć
I pszeniczny kłos pocałowałem.*

Jest w tych wierszach apoteoza pracy, użyteczności... Ale i bezużyteczność jest piękna. Z wędrowek po polach, okalających rodzinną wieś — przedmieście Hrubieszowa, Sławęcina, przeciętych siłą taśmą Huczwy, rzeki dzieciństwa poety, przyniósł piękny tren-poemat „*Śpiew mrącego ostu*”. Odczytał mi go tym razem w którymś numerze Kwadrygi ogłoszony, jakże inny od dziecinnie-bluźnierczej Piani na ustach, a choć może owiany technieniem Łąki Leśmiana, ale bezpośredniością wyrazu i prostotą środków tworzący samostny organizm poetycki. Jest ten *Śpiew mrącego ostu* daleki od wszelkich, takich czy innych podnień zewnętrznych, kierunku i mody, powstały jak tyle innych najlepszych utworów Ciesielczuka w czasie częstych na każde ferie czy każdy urlop powrotów do domu rodzinnego, przepelniony wielkimi rozumieniami, to nie, że powtarzającymi się od tylu wieków, od ilu pieśń, poezja wyodrębniająca się z wszechzycia jednostki istnieje, ale koniecznym dla każdej twórczej osobowości. Znalazła więc w tym poemacie wyraz artystyczny i zaduma nad światem i człowiekiem w nim losem i tęsknotą za czymś innym, ból istnienia i przemijania, bolesne rozumienie swej odrębności w wiecznie płodnym wszechłonie. Jeden to z żywotów roślinnych, żywot tego ostu nadzycznego, godny stanąć obok takich jak Kalina Lenartowicza, czy Dąb Leśmiana. Spokojnym tokiem opowieści o losach ostu poeta się z jego istnieniem utożsamia, z jego przyziemnością się zrasta, współ-czuje:

*Nad trawiastym brzegiem Huczwy
żył pewnego roku*

*Mały, młody krzew ostowy,
urodzony w mroku —*

*Z piersi ziemi ssał ciepły
źródło mleka,*

*Rósł, w zielone ciało się oblekał,
Brać ustami liści napój jasności*

z obłoków.

*Przypatrywał się w wieczory
ciąglą fali pochodom,*

*Przysłuchiwał się tym szumom,
które z sobą wiodą,*

*Czasem, bólem przejęty dalekim,
Szeptał w smutku do sąsiadki-rzeki:*

*„Nie miej, nie miej do mnie żalu,
kiedy umrę młodo!”*

—

*Nie miej, nie miej do mnie żalu,
ty huczwińska wodo,*

*Że w jesiennym głodnym chłodzie
umieram tak młodo!*

*Nim poznałem słoneczną urodę,
Już wiedziałem, że muszę stąd odejść,*

*Tak jak wszystko odejść musi
nieznajomą drogą.*

Jest to jeden z najprostszych, a zarazem klasycyzujących wierszy poety — tej próbie zharmonizowania „Głazów i strun” odpowiada następujący w r. 1931 pod tym tytułem ogłoszony zbiór wierszy. Ale Ciesielczuk nie idzie dalej tą drogą, wie, że byłoby to ustępstwem, a więc cofnięciem się, wirtuozerią, kaligrafowaniem. Ciesielczuka nie stać było na to, nie stać w tym sensie, że poeta ten czuł wyraźnie, jak bardzo odpowiedzialnym jest twórca, przy

tym pisanie było jego najistotniejszą potrzebą duchową i oddawało tylko treść najgłębszych, niepodległych przeżyć, jego poezja to poezja równoznaczników życia duchowego, jedynego w swej odrębności... Mówi się tu przede wszystkim o Ciesielczuku dojrzałym z ostatnich dwóch zbiorów: z małego „Pentaptyku lapidarnego” (1935) i obszernego, bo ponad 100 stronic liczącego „Teatru natury” (1937). Czym był Pentaptyk po czterech latach milczenia ogłoszony? Tych pięć wierszy, stanowiących ten poemat dialektyczny bytu, opartych było na prawie największej ekonomii słowa, największej lapidarności, czasem nawet z nazbyt zacisniętymi wargami wypowiedzianych. Niewątpliwie potrącał nie duże dala tu muza Norwida, czytano w tym czasie najgorliwiej, ale Ciesielczuk nie chce być naśladowcą „wędrownego, sztukmistrza”, nie podstuchuje jego tonu, nie pożyczka jego „chwytów”, nie chce twórcy Promethidiona zabijać „drugim raz modą”, iść za nim czy obok niego, pomijając właściwie, ale przez niego. I idzie przez niego, nie naśladowując go (naśladowanie jest fałszowaniem), „wsluchany w prawdy dźwięk, nie w dźwięków dźwięki”. Zrodził się szereg wierszy o norwidowym poczuciu, a jest to zarazem ostatni z wyraźnych wpływów literackich, wpływ najproduktywniejszy, bo na powinowactwie psychicznym oparty.

A Hamsun? Z Hamsunem rozstrzyga się sprawa na pierwszych stronicach ostatniego tomu. Jak w artykule krytycznym — pisał ich poeta nie wiele, ale ważkich jako wyznania — rozprawia się z jego geocentryzmem, który odwołując go od człowieka, doprowadził do potwierdzenia faszyzmu, choć nie jest to konieczna droga, tylko Hamsun wybrał w starczej ślepcie z tych, które się otwierały, najbliższą jego północnemu poganizmowi, tak w poezji Ciesielczuk składa jeszcze raz hołd temu twórcy, tłumacząc (z przekładu rosyjskiego) kilka jego wierszy, a w kilku własnych wyraźnie do niego nawiązuje (Knut Hamsun i lasy). Ciesielczuk odwarza tu Hamsuna, nie tego gorliwie odżegnującego się od człowieczeństwa i schyłającego skroni po „błogosławieństwo ziemi”, ale tego (por. żelazne noce porucznika Glana), co tak usilnie rozżarzał w piersi „wielkie żelaza”:

Na mnie lasy czekają
pod niebios przestworem,
Ich pieśń wiecznością tchnąca,
niech do dna mnie wzruszy.
Zachysnę się lasami
i poczuje może,
Jak się wielkie żelaza
znów żarzą w mej duszy.

W jednym z najpiękniejszych wierszy tego cyklu „Las mnie zawołał” zaważył może nie tyle wpływ Hamsuna, ile chłopskie pochodzenie poety, doskonałe życie się z przyrodą wsi, której oddech wraca siły stargane gorączką miasta, a wiersz „Pochowajcie mnie, gdy umrę gdzie w polu”... przy porównaniu z przekładem hamsunowskiego „miejsca pogrzebania” tuż obok umieszczono (ten sam temat!) jest bardzo pouczający. Kiedy Hamsun wartość człowieka mierzy wartością mierzywości pośmiertnej, człowiek przetwarza się, jego krew w ciało zwierzęce, bo zwierzęcość, bestia jest najbliższa człowiekowi, u Ciesielczuka człowiek po śmierci pozostaje jakby w tym świecie, częścią świadomości w świat wgarnięty, on się nie pragnie wydać na żer szczyrom, wronom i muchom, ale chce wroś w łan żytni, najukochońszy łan, co jest jakby pogodzeniem się człowieka z przyrodą:

Z mego serca mak wystrzeli
i zakwitnie,
Z moich oczu wyrosną
dwa kłosa żytnie.
Będę nocą poprzez źdźbła
wziutkiem szpary
Patrzył w świat swój dawny,
w sen swój nie dowiary.

Ale tu wyczerpuje się domena oddziaływań hamsunowskich, bo dalsze cykle zbioru już całkowicie człowiekowi, człowieczeństwu są poświęcone i jego atrybutom należnym: myśli, świadomości, życiu ponadinstyktowemu, życiu w pełni odpowiedzialności etycznej, godności ludzkiej.

„O przebudź mię zupełnie!” — woła poeta w zakończeniu jednego z wierszy, ale to pełne przebudzenie musi wyjść od niego, i otóż te właśnie próby pełnego przebudzenia to najwyższe wloty poety.

Niektóre z nich pokazują mu rzeczywistość lat przedwojennych (książka wyszła w r. 1937). Powstają wiersze (cykl VI zbioru) pełne sarkazmów, bólu, zgrozy nawet, bo w zwierciadle teraźniejszości poza maską zakłamania i obłudy, dostrzega poeta widmo upiornej przyszłości. Takim niemal jasnowidztwem natchniony jest wiersz Bruk, pełen pierwotnego, niemal animistycznego doznania:

Idącemu chodnikiem biednemu poecie,
Kiedy w bruk się zapatrzył,

Ze krwi ludzkiej, krwi świeżej
nagle się wydało,
wołają kamienie.

Rzekł więc w myśli kamieniom:
Krwi się napijecie

Jeszcze nieraz — — —

Satyryczny poemat „Pieśń o młodym poecie” — to pieśń o zdradzie „rzeczy ludzkiej”, jakbyśmy dziś powiedzieli, bo poeta prawdziwy to buntownik, jego natchnienia muszą być coraz sroższe, musi się bronić do końca przed „rozbrojeniem ducha”, a kończy wyraźną dydaktyką:

Przed zgodą z ziemią, niebem,
ludźmi, księżycami,
Przed rozbrojeniem ducha
do śmierci się brońcie,
Żegnając bliskie wzgardą —
witajcie żagwiami
Światy, co na najdalszym
wstają horyzoncie!

W tryptyku kończącym „Teatr natury”, będącym jakby testamentem poetyckim Ciesielczuka, bo nie zdaje się, aby coś z jego późniejszej twórczości ocalało, mówi poeta o swoim oglądzie „rzeczy ostatecznych” — czy jest w tej metafizyce Ciesielczuka coś nowego? Niewątpliwie da się wykryć wiele pokrewieństw, podobieństw, związków z tym czy innym systemem filozoficznym — ale własnym jest bezsprzecznie to, że poeta po swoich drogach doszedł do niej i to, że tworem swoim — i życiem także — poświadczył prawdę wewnętrzną, takich jak poniższe objawień:

W natężeniu najwyższym
śmiercią zakwita życie,
Mrok ostatni błyska jasności
pierwotną strugą, —
Myśl, zrzucając swej nazwy
lachman na samym szczycie,
Jest żywiołu — ach, już nie formą
— wolnością drugą!

Któż wie, kiedy wybucha — o ta,
ta właśnie chwila!
Może, ginąc, widzi w następnej,
innej przeczuciem,
Jak słońce milion gaśnie, —
a miliard — z mgieł się wychyla, —
A to tylko wieczność się
w nowej podnosi nucie...

Oto w krótkim ujęciu „poetycka droga” Ciesielczuka, a parafrazując dalej Słowackiego, można powiedzieć, że z życia tego twórcy, które przedwcześnie przecięło okrucieństwo wojny i zbrodnia faszyzmu, był poemat dla — człowieczeństwa, dla jedynego naszych i przyszłych czasów ideału, ideału wolnego wśród wolnych ludzi człowieka.

Na zakończenie tych dość luźnych uwag kilka słów o Jego życiu.

Stanisław Ciesielczuk urodził się w r. 1906 w Hrubieszowie, ściślej mówiąc na Sławęcinie, przedmieściu Hrubieszowa o wygładzie dużej wsi podmiejskiej. Rodzina liczenie rozrodzona — nazwisko powtarza się tu bardzo często — zdawna osiadła, prowadziła gospodarstwo wiejskie kilku-morgowe, dziad pozostawił pamięć „opornego” unity i świetnego gawędziarza, roduństwo było liczne. Najstarszego z synów — Stanisława — posłano do gimnazjum w Hrubieszowie z myślą, że ukoronuje znaną pobożność rodziny i zostanie księdzem. Gimnazjum ukończył bardzo wcześnie, bo już w roku 1923 zdaje maturę,

uczniem był, jak to się w szkole mówi, wybitnie zdolnym, z tych, którym wiedza szkolna prawie bez wysiłku idzie do głowy i utrwała w niej na stałe. W gimnazjum założył pisemko szkolne, pierwsze na terenie Lubelszczyzny, i dał mu nazwę „Pąkowie”, gdzie też ukazywały się pierwsze jego utwory, wiersze i szkolna publicystyka o tonie jasnym, prostym i zdecydowanym (piszący te słowa musiał jako redaktor „odpowiedzialny” ze względu na dyrekcję szkoły skreślać niektóre zbyt wyraziste określenia). Był też, rzecz prosta, prezesem Kółka Polonistycznego, które dzięki memu poprzednikowi — poloniście rozporządzało zasobną biblioteką literacką, z której czerpał przyszły poeta nawet po ukończeniu gimnazjum znajomość literatury polskiej i obcej, a do której piszący te słowa włączał najnowsze na owe czasy tomiki, więc Leśmiana, Tuwima, Wierzyńskiego i innych.

Po maturze następuje zawód — dla rodziny przez długie lata bolesny i wywołujący dużo zdrażnień, fakt zapisania się na wydział humanistyczny uniwersytetu warszawskiego, nie do seminarium duchownego, a dla niego samego już nie tyle zawód, a gorycz zetknięcia się z rzeczywistością, kiedy rzucono na bruk stolicy z kilkudziesięcioma złotymi, zarobionymi korypetacjami, zaczął się borykać z nędzą, głodem i zimną obojętnością ludzką. Przy tym studia: na pierwsze ferie świąteczne przyjechał zbiedzony, zgnębiony, z dwiema gramatykami: grecką i starocerkiewnośląską... Opór wewnętrzny nie pozwalał mu na narzucony tryb studiów polonistycznych, choć pamięciowo zdołał w ciągu dwóch tygodni opanować podręcznik gramatyki, ale zasiąść do kolokwium, do egzaminów... ale porzucił na jakiś czas pozę — na jakiś czas to znaczy na zawsze, bo byłoby to zaparciem się, zdradą... Od najmłodszych lat był wrogiem wszelkiej ugody, kompromisu, „złotej” drogi środkowej...

Postanowił zatem być poetą. W dziewiętnastym roku życia postanowił być poetą i żyć bylejak, byle z czego, byle nie z łaski cudzej, bez sprzedawania się i bez wyzyskiwania drugich, nawet najbliższych. Potoczyły się więc lata młodości, lata wyrzeczeń, nędzy i pracy nad sobą. Żył rzeczywiście bylejak, z początku z nędznie płatnych korepetycji (ale i o te było trudno), mieszkał kątem na Freta u nędzarzy niewiele mniejszych od niego, nie dojadł, marnował się... nie, hartował się, rozżarzał w sobie te wielkie żelaza, które syczały w zetknięciu z codziennością życia wielkomiejskiego, z jego codziennym wysiłkiem za zarobkiem, za lichą przyjemnością i haniębną rozkoszą. Umocnił się w swym „chłopskim”, jakże wielkim i wzniosłym uporze, że będzie żył bez łaski i bez wyzyskiwania się tym czy innym koteriom. Z czasem otrzymał zajęcie korektora w jednym z pism stołecznych, ale i tu spotykały go kłopoty, bo chciał być sobą i kłamać nie potrafił. W tym czasie zaczyna ogłaszać wiersze w pismach stołecznych, a jeden z pierwszych ogłosił ich kilka St. Kozłowski w Przeglądzie Warszawskim. Ale przez szereg lat żył właściwie w samotności, a były to dla niego czasy największego wysiłku i największej biedy.

Zmieniło się trochę, kiedy potem wszedł w kontakt z grupą młodzieńców jak on sam poetów, z którymi wspólnie rozpoczął wydawanie Kwadrygi. Więcej wymiana myśli, współdziałanie, przyjaźń, która zwłaszcza z St. R. Dobrowolskim i Wł. Słobodnikiem przetrwała do końca. Wraz z nimi ogłasza w Bibliotece Kwadrygi pierwszy

większy zbiór wierszy „Pies kosmosu”. Nie był to pierwszy jego tomik. Już w roku 1927 ukazuje się jego „Chaty w obłokach”, dwuarkuszowa plakietka poetycka, którą piszącemu te słowa udało się wydrukować w drukarnie hrubieszowskiej drogą subskrypcji wśród miejscowej inteligencji, przy czym po doręczeniu egzemplarzy wzburzyło się miejscowe bagienko, gromy oburzenia spadły na autora i... wydawcę za kilka śmielszych powiedzeń, za kilka obraźliwych obrażających śmieszna pruderii miejscowych luminarzy. Ale żart się udał, za złotówki najskrajniejszej reakcji wyszła pierwsza książeczka dwudziestoletniego poety, który nie chciał po staremu pisać i co gorsza nisko się kłaniać... Śmiałyśmy się potem nieraz ze Stanisławem, spotykając się często w „jego” Warszawie, czy „moim” Zamościu, jak to jeden czy drugi miejscowy kacyk wzywał przed swe oblicze zuchwałego autora, żądając usprawiedliwienia się, a On już się umiał usprawiedliwić i to tak dobrze, że go już więcej nie próbowali umoralniać, bo, panie dobrodzieju, to już stracony człowiek, to... „sojasta”! A asumpt do tej okropnej diagnozy dał ogłoszony w drugiej plakietce „Więś pod księżycem” (wydanej przez Akademickie Koło Hrubieszowian w następnym roku) wiersz bardzo naiwny i niewinny „Młodości Pierwszy Maj”, a w nim takie zwrotki:

Młodością nam oczy płoną,
W ciałach — młodości sok.
Kroczy gromadą zjednoczoną,
Wbijając w ziemię kroki.

Rosnie wspaniale nasz spory zastęp,
Co rok — to więcej nas.
Ciągniemy szumem nad wsią
i miastem —
My młody, żywy las.

Pachnący dzień niebiosa wymył,
W wiosnie się kąpie dal! —
Młodością smutni, dziś święcimy
Młodości pierwszy maj!

Takim pozostał do końca. Bez kompromisów, bez oportunizmu, bez karierowiczowstwa... Wrażliwy do ostatecznych granic, ale tę wrażliwość godzący, drogą iluż wyrzeczeń, zmagani i trudów — z nieugiętą wolą, by żyć bez wyrzeczeń wewnętrznych przy największych materialnych. Czystą i piękną była dusza tego poety o lotach najwyższych, mądra mądrością ziemi i człowieka, odradzająca się w zetknięciu ze światem pracy, poza którym nie widział innego, i w walce o najwyższe wartości człowieczeństwa.

Przyszły potem czasy trochę lepsze, więc przejście z korektora na dziennikarza, więc pewna wziętość, możliwość drukowania, wzmianki, recenzje coraz obszerniejsze i życzliwsze, a nazwisko... Nawet zrozumienie — nie wolno mi tu pominąć głosu K. W. Zawodzińskiego, który pisząc o obu ostatnich zbiorach Ciesielczuka pierwszy bodaj zwrócił uwagę na wyjątkowość jego twórczości, jego niepodległość, wielkość nawet i uczynił to w sposób otwarty i zupełny. Niestety, nie rozporządzałem teraz tekstami tych recenzji, abym mógł, jak należało, cytatem to potwierdzić i skonfrontować z własnymi spostrzeżeniami...

W ostatnim czasie zwrócił się Ciesielczuk także do prozy, miał gotową powieść i kilka opowiadań o tematyce wiejskiej; jakie ich losy nie wiem, jedno z nich ukazało się podobno w którymś z dzienników warszawskich tuż przed wybuchem wojny.

Ale już odszedł... Mija właśnie pierwsza rocznica jego śmierci, kiedy piszę te słowa o człowieku i poecie, i w tej chwili nie wiem kogo żał bardziej, czy poety, którego kilkanaście wierszy przetrwa próbę czasu, czy człowieka o tak pięknej linii życia — życia bohatera, od zadumanego dzieciństwa wiejskiego, poprzez młodość mierzoną miarą ideałów i wiek męski osiągnięty i wytrwałej obrony zagrożonej pozycji „godności ludzkiej”. Więcej myśle, że należałyby mu się dwa hommaga pośmiertne od współczesnych: książka wspomnień o nim przez przyjaciół — rówieśników spisana i jeśli nie pełny zbiór, to przynajmniej obszerny wybór jego utworów.

Adam Szczerbowski

W OSTATNIM 49 (77) NUMERZE „WSI”
z dnia 15 grudnia 1946 r.:

Bartłomiej Bigorański — Czy kryzys uniwersytetów ludowych w Polsce? (II); Andrzej Skupień — Florek — Biały Dunajec (II); Adam Szczerbowski — Matka i syn; Kazimierz Sosnowski — Bartoszone gniazdo; Rozstrzygnięcie konkursu: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?”; Anna Kamińska — Ze Szkoły Stronnictwa Ludowego; A. F. Kirlo — Nowaczyk — Wiem. Głodnym wargom... (wiersz); Piotr Stanisław Ziarnik — Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś? Seweryn Skulski — Hoboes — zawodowe wścogostwo; Stefan Lichański — Dwaj poeci; Rozmyślenia nad techniką — Fal. Fakty i zdania, Komunikaty i ogłoszenia, 8 stron.

REDAKCJA TYGODNIKA

« W I E Ś »

przypomina, że termin nadsyłania prac konkursowych
NA LUDOWY UTWÓR SCENICZNY

upływa z dniem

31 GRUDNIA 1946 R.

Łączna suma trzech pierwszych nagród wynosi
45.000 ZŁOTYCH

Szczegółowe omówienie warunków konkursu
wzartaliśmy w numerze 42 (70) „Wsi” z dnia
27 października b.r.

Zygmunt Kałużyński

„Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale” w inscenizacji Leona Schillera

Tygodnik nasz z reguły nie przeznaczają miejsca dla sprawozdań teatralnych. Recenzja, której typ panuje dotychczas ma znaczenie orientacyjne dla czytelników gazet wielkiego miasta, wskazuje na sztuki godne zainteresowania, lub na ich marginesie podaje komentarze literackie, pochwały i nagany dla aktorów. Zanim nie narodzi się pokolenie nowych teatrologów, którzy potrafia omówienie spektakli ująć jako wzory i wskazania dla działaczy teatral-



Józef Maliszewski (Wawrzyniec) i Konstanty Pagowski (Bartłomiej) — W kostiumie Wawrzynca aluzje, podkreślające charakter jakby emisariusza politycznego, zgodny z poważnym tonem przemówień tej postaci.

nych ludowych, rozproszonych po całym kraju, a jednocześnie w przedstawieniu każdym znajdują problem, który tak rozbudują, że zaznajomi się z nim z pożytkiem nawet czytelnik, który przedstawienia nie widział i okazji do zobaczenia mieć nie będzie, — do tego czasu blady felieton teatralny nie jest nam potrzebny. Są jednak wyjątki — gdy mamy do czynienia z wielkim dziełem teatralnym, które wchodzi trwale do naszego dorobku narodowego, jako twórczy fakt kulturalny, rzadko się zdarzający, albo gdy przedstawienie specjalnie jest ciekawe ze względu na teorię i praktykę teatru masowego, a więc również teatru chłopskiej przyszłości. W wypadku „Cudu mniemanego czyli Krakowiaków i Górali”, wystawionego w Państwowym Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi w inscenizacji Leona Schillera, jeden i drugi powód wyjątkowy istnieje; jest to bowiem jednocześnie jeden z pierwszych monumentalnych spektakli po wojnie, a zarazem realizacja przykładowa teatru masowego, na której działacz sceniczny ludowy nauczy się tyle, co na całorocznym kursie. Spróbujmy więc, choćby ogólnikowo, zanotować najważniejsze z naszego punktu widzenia dane.

WIELKI REPERTUAR DLA TEATRU LUDOWEGO

Przedstawienie Łódzkie jest jedną z realizacji programu, nakreślonego przez L. Schillera w zakresie teatru masowego, jako zespół wytycznych dla jego działaczy w odrodzonej Polsce, a drukowanych w 1-ym nrze czasopisma „Teatr”. Ponieważ praca ta nie jest dostatecznie rozpowszechniona, nie od rzeczy będzie na łamach „Wsi” powtórzyć plan Schillera, bowiem artysta ten stworzenie przykładowego, nowoczesnego teatru masowego oznaczył sobie jako jeden z celów działalności.

Byłaby to pracownia doświadczalna, skupiająca najwybitniejszych działaczy i artystów; osiągnięcia jej, jako przykładowe, mogłyby być pokazywane w różnych ośrodkach, zaś opisane słu-

żyłyby za wzór do reprodukcji dla setek scen ludowych w kraju.

Teatr ten nosiłby nazwę „Teatru Ludowego im. Wojciecha Bogusławskiego”. „Będzie to — pisze Schiller — awangardowa placówka demokratycznej sztuki teatralnej; szkoła wychowania moralnego, kulturalnego i politycznego szerokich mas.

Poza warstwami pracowniczymi, robotniczymi i inteligentnymi, społecznie uświadomionymi i zorganizowanymi, teatr ten powinien przyciągać do siebie grupy społecznie nieświadome jeszcze, niewyrobione, źle zorganizowane lub całkiem nie zorganizowane. Powinien obudzić zamilowanie tych nowych odbiorców do widowisk teatralnych, z pewnością mało albo całkiem nieznanymi Czyni do winien stopniowo, zaczynając od widowisk łatwych, rozrywkowych, kończąc na wartościowych, poważnych. Tematyka i problematyka tych widowisk musi być żywa i interesująca widownię, pod względem formy zaś powinny być one klasycznie czyste.

Widowiska objaśniane będą za pomocą komentarzy, wygłaszanych lub wyświetlanych, albo też za pomocą programów, rozdawanych widzom bezpłatnie.

Teatr dążyć będzie do tworzenia nowych form dramaturgicznych i inscenizacyjnych, wynikających z potrzeb nowej widowni, z jej ideologii i jej roli dziejowej w odrodzonej Polsce.

Co do repertuaru tego teatru to obejmowałby on:

a) widowiska dostępne dla wszystkich, nawet dla widzów najbardziej kulturalnie zacofanych, społecznie mało uświadomionych: wodewile i melodramaty z życia ludu miejskiego i wiejskiego, o szlachetnych tendencjach demokratycznych, np. przeróbki starych wodewilów typu Nestroya czy Ferdynanda Raimunda, lub melodramatów w guście „Dwóch sierot” d’Ennerygo; nowe, zrewidowane historycznie, ideologicznie wypracowane opracowania Anczyca „Kościuszki pod Racławicami”, Bełcikowskiego „Przekupki warszawskiej”, Baluckiego „Kilińskiego” itp. w formie ulubionych na ogół u nas „sztuk ludowych ze śpiewami i tańcami”; mogłaby być mowa o nowych adaptacjach „Królowej przedmieścia” i innych wodewilów Krumłowskiego, „Kaśki Kariatydy” Zapolskiej, „Popychadła” Szutkiewicza itp.;

b) przeróbki utworów powieściowych, np.: W. Hugo „Nędznicy”, Dickensa „Powieść o dwóch miastach”, Sienkie-

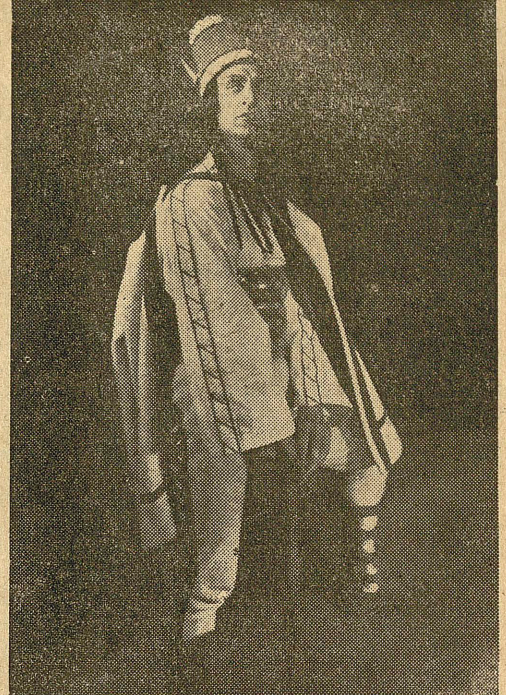
powstały (powstanie kościuszkowskie, Legiony), „Powrót posła” Niemcewicza w podobnej oprawie dramaturgicznej (sejm czteroletni, konstytucja 3-go maja), Wandę Wasilewskiej „Bartosz Głowacki”, Br. Jasińskiego „Rzeczpospolita gromadzka”, Merime’go „Wojna chłopska” (w swobodnej adaptacji), G. B. Shawa „Święta Joanna”, R. Rollanda „Wilki” i „14 lipca” (w obróbce wyjaśniającej tło polityczne widzowi polskiemu mniej znane), St. Przybylskiej „Sprawa Dantona”;

d) cykl wielkich faktomontaży historycznych (dramatów ideologicznych, dokumentalnych, „bezfabularnych”) pt. „Dzieje Demokracji polskiej”, na który to cykl, będący owocem pracy zbiorowej dramaturgów, historyków i znawców zagadnień politycznych, złożyłyby się następujące epizody: 1. Upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej. 2. Insurekcja Kościuszkowska. 3. Legiony. 4. Powstanie listopadowe. 5. Emigracja (przenikanie idei demokratycznych do kraju; współpraca demokracji polskiej z Europą demokratyczną — pierwsze próby akcji zbrojnej — Zaliwski; sprawa Ludowa — Worcell, Heltman i in., Szymon Konarski, ks. Ściegienny, Edw. Dembowski, Henryk Kamiński, Mierosławski; zrewolucjonizowane Poznańskie; — Szela, powstanie chłopskie), 6. Trybuna Ludowa: Mickiewicz. 7. Rok 1863. 8. Komuna paryska. 9. Proletariat. 10. Rok 1905. 11. Walka w okresie 1918—1939. 12. Udział mas ludowych w walce z okupantem niemieckim — zwycięstwo demokracji ludowej.

Forma dramaturgiczna widowisk tego rodzaju przypominałaby nieco swą konstrukcją scen luźnie z sobą związanych strukturę widowisk ekspresjonistycznych. Inszenizacja nie kusiłaby się o efekty iluzjonistyczne, zerwałaby z opisowością dawnego realizmu. Przeszczerzeń sceniczna rozwiązana byłaby symultanicznie. Ważnym elementem inscenizacyjnym, objaśniającym zawartość ideową poszczególnych dramatów, mówiącym o sprawie i zdarzeniach, nieukazanych na scenie — byłyby wkomponowane artystycznie w widowisko projekcje tekstów i scen filmowych, przemówienia speakera, ulotki rozrzucone na widownię — oraz współpraca aktorów z widzami, którzy w pewnych momentach byłiby wciągnięci w akcję;

e) widowiska dydaktyczne w formie reportażów, dyskusji udratyzowanych itp. osnute na takich np. tematach: naukowa organizacja pracy, wieś i miasto, zjednoczenie świata pracy,

cyjna), W. Hugo „Hernani”, „Marion Delorme”; Musseta „Lorenzaccio”; Goethego „Egmont” i Schillera „Intryga i miłość”, „Don Carlos” (obydwu poetów dzieła dopiero wówczas, gdy dojdzie się do przekonania, że pisarzy niemieckich grać należy). Lope de Vega „Owece źródła”, Ibsena „Cesarz i Galilejczyk”, „Pretendenci do korony”, komedie Goldoniego i Gozziego, Gogola „Rewizor”, „Ożenek”, „Martwe dusze” itp.;



T. Cygler jako Bryndas. — Patetyczny kostium zbójnicki, jakkolwiek historycznie i zwyczajowo niezgodny z prawdą, jest celowo przez inscenizatora wprowadzonym motywem dekoracyjnym.

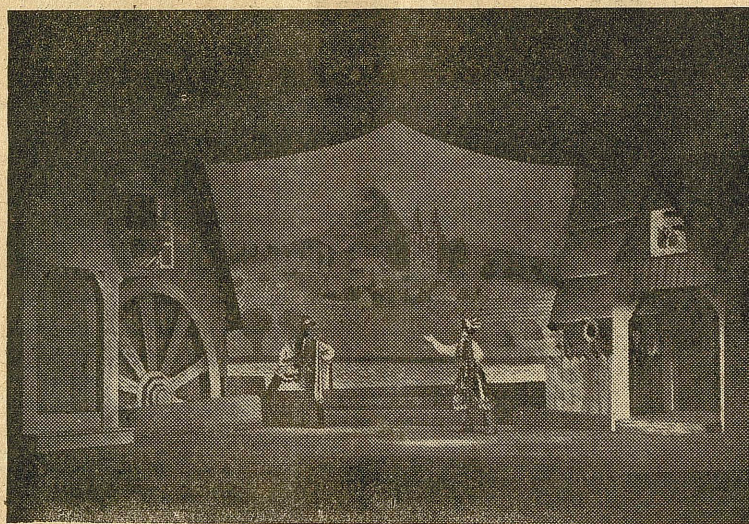
g) polska wartościowa twórczość dramatyczna z Dziadami, Kordianem, Horstynskim, Balladyna, Nieboską, Irydionem, Różą i najpiękniejszymi komediami Fredry na czele;

h) perły dramatyki chłopskiej i mieszczańskiej — widowiska na motywach ludowych osnute np. „Gody weselne”, „Rok staropolski”, Misterium o Bożym Narodzeniu, Misterium wielkopostne i wielkonocne. Tańce śmierci, Komedie rybałtowskie — „Kram z piosenkami” (montaż inscenizowanych dawnych piosenek polskich od XVIII-go w do czasów ostatnich).

Teatr winien służyć za wzór dla wszystkich ochotniczych i zawodowych scen ludowych, winien także jako przybudówka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej szkolić reżyserów i instruktorów scen tego typu.

REALIZACJA PLANU.

Plan ten, zakrojony na wielką skalę, jest jedyną dotychczas w naszej literaturze konkretną próbą stworzenia repertuaru teatru ludowego na wielką skalę. Ma on znaczną rozpiętość pedagogiczną, przeprowadzając widza przez osiem stopni wtajemniczenia w coraz trudniejszy język teatru; nacechowany jest nie cofającą się przed trudnościami, obliczoną na lata i pokolenia ambicją wychowania widza masowego, dojrzałego do najsubtelniejszych osiągnięć sztuki europejskiej współczesnej; zrywa raz na zawsze z pogardliwą zaściankowością teatru anezykowskiego, który nosił piętno „jałmużny kulturalnej”, uproszczonej, udzielnionej sztuki, traktującej widza ludowego jako nie-dojrzałego umysłowo, karmiącej go lichotą artystyczną i naiwną pedagogią w plebejskim duchu. Teatr masowy zaprojektowany przez Schillera nie jest przycepką do innych projektów, (jakkolwiek artykuł, z którego jest wyjęty, planuje również różnorodne typy teatrów i w ogóle reorganizację życia teatralnego w Polsce) a jest główną realizacją polskiego teatru współczesnego, realizacją do której mobilizować się będzie wszystko, co jest w sztuce naszej najlepszego, i nie po to, by tworzyć je-



Dekoracja Wł. Daszewskiego, utrzymana w stylu skomponowanego realizmu, z aluzjami do ówczesnych rycin.

wieca „Krzyżacy”, Prusa „Powracająca fala”, Żeromskiego „Przedwiośnie”, Struga „Dzieje jednego pociągu” itp.;

e) sztuk o treści historyczno-politycznej z polskiej i cudzoziemskiej literatury np. „Krakowiacy i Górale” Bogusławskiego i Kamińskiego, w ramach inscenizacji historycznej, odtwarzającej chwilę dziejową, w jakiej te utwory

imperializm kapitalistyczny i jego obrońca — faszyzm, budownictwo socjalistyczne itp.;

f) celniejsze dzieła dramatyki cudzoziemskiej, np.: dramaty królewskie Szekspira, Moliere „Skapiec”, „Grzegorz Dyndala”; Beaumarchais’go „Cyruulik sewilski” i „Wesele Figara” (naturalnie z uwypukloną treścią rewolu-

den jeszcze „Teatr Powszechny”, jak był np. przed wojną teatr E. Poredy, objeżdżający przedmieścia Warszawy i grający to w remizie tramwajowej na Ochocie, to w budzie strażackiej na Woli, zdany na prymitywne dekoracje i traktowany jako robota trzeciego rzędu, — a i tak dobijający się do niemałych zasług, nie jakiś prowincjonalny „Teatr Wołyński”, objeżdżający dziury Polesia i Lubelszczyzny, szlachetny w zamierzeniu, ale zmuszony przysparzać przypadkowych, bylejakich, wcale nie twórczych i ambitnych artystów. Teatr nowy będzie sceną centralną, wyposażoną najlepiej jak stać będzie państwo polskie; będzie to widocznym dowodem dbałości rządu chłopsko - robotniczego o inną kulturę narodową, niż była dotychczas, kierowana przez organizację w rodzaju TKKT, zdolne uradować tylko mieszczańskiego widza o wulgarnych gustach.

Projekt ten przepracowany był pod kierunkiem Schillera przez artystów sceny, skupionych pod okupacją w „Konspiracyjnej Radzie Teatralnej”, która po wojnie archiwum swoje przekazała powołanej przez Ministra Kultury i Sztuki Radzie Teatralnej, ciała planującemu i kontrolującemu odbudowę sceny narodowej, powołanej do życia po raz pierwszy w dziejach naszej sceny, złożonej z pierwszych artystów teatru polskiego, naukowców, badaczy, teatrologów, autorów i publicystów teatralnych. Instytucja ta gwarantuje na przyszłość jednolitą planowość życia teatralnego, które nie będzie się rozprasać na błahą produkcję zadawalającą publiczność mieszczańską - sklepikarsko - szabrowniczą.

Czemuż więc jest tak źle, skoro jest tak dobrze? zapyta niejeden. Bo na razie odmiany nie widać, repertuar teatrów nie jest bynajmniej bardziej planowy i ludowy niż przed wojną, zaś artystów jest znacznie mniej, przez co i poziom scen obniżył się nie mało. Słyszysz się gęsto o teatrze dla mas, do tego stopnia, że zdanie to stało się jednym z najbardziej uprzykrzonych i natrętnych sloganów i jakby przez złośliwy kontrast mniej osiągnięto na tym polu niż przed wojną. Dyskusja wszczęta na lamach „Wsi” na temat ideologii nowego teatru ludowego wygasa i braku zainteresowania; Instytut Teatrów Ludowych, tak ruchliwy przed wojną, teraz jakby nie dawał znaku życia, zaś oficjalne próby podjęcia zagadnienia są wafle i dotychczas nie mają ani jednego znaczącego osiągnięcia. Czemu tak się dzieje?

Powody tego stanu rzeczy są złożone. Dosłownie, niema gmachu teatralnego na Teatr Masowy na wielką skalę, taki o jakim marzy Schiller. Scena warszawska (Teatr Polski) zajęta jest na teatr, który również w Warszawie jest potrzebny, „normalny” teatr repertuarowy; podobnie dzieje się w Krakowie. Dalekie są te sceny od wymagań stawianych przez współczesność, żyją pokarmem odgrzewanym i przeciągają w nieskończoność prowizoryczność artystyczną i ideologiczną naszego teatru. Niemniej są konieczne w obecnych warunkach, gdy nie możemy pozwolić sobie na skupie-

nie wszystkich sił na jednym eksperymencie, który nie od razu się wyplaci, mimo, że służy najistotniejszemu potrzebom kultury ludowej. Na razie Łódź przygarnęła Schillera i prowadzona przez niego Państwową Wyższą Szkołę Teatralną. Jednakże warunki pracy teatralnej w tym mieście są tak nienowoczesne, że niema tu mowy o realizowaniu np. wielkich arcydzieł romantycznych naszych mistrzów, wymagających sceny obrotowej i znakomitego kompletu reflektorów. W warunkach tych niedomagań teatr pracuje przeważnie, oczekując na podźwignięcie z gruzów nowych sal teatralnych. Zanim to nastąpi, scena daje możliwie ambitne widowiska o charakterze bardziej kameralnym, starając się przeciwieście realizować, choćby w zmniejszonym wymiarze, służbę nowemu widzowi.

Najwybitniejszym z dotychczasowych osiągnięć jest niewątpliwie przedstawienie „Krakowiaków i Górali”. Jest to jeden ze spektakli, którego dokładny opis powinien stać się pozycją biblioteki „Nowego Teatru Ludowego”, planowanego przez Radę Teatralną, i służyć jako wzór dla krajowych inscenizatorów. By realizować ten utwór — typ, Teatr skupił się do wielkiego wysiłku materialnego. Pamiętamy, że przed wojną nie było stać państwa polskiego na utrzymanie jednego teatru operowego, wymagającego ćwiczonego chóru, baletu, orkiestry, długich i kosztownych prób. Teatr Łódzki nie cofnął się przed olbrzymim i ryzykownym wysiłkiem finansowym, chcąc zapewnić wszystko co najlepsze temu spektaklowi.

„KRAKOWIACY I GÓRALE” — PRZYKŁADEM TEATRU DLA MAS.

W projekcie Schillera „Teatru Ludowego im. Bogusławskiego” „Krakowiacy i Górale” zajmują miejsce w punkcie e), „sztuk o treści historyczno - politycznej”. Plan ułożony jest progresywnie, również według stopnia trudności utworów, poczynając od widowisk dostępnych dla wszystkich, skończywszy na arcydziełach literatury światowej i polskiej, najbardziej nawet nieprzystępnych; „Krakowiacy i Górale” znajdują się raczej u jego początku, jako dzieło ludowi bliższe i łatwiej zrozumiałe również mniej wyrobionym widzom. Jest to grupa spektakli o problematyce wyraźnej „ludowej”, podobnie jak punkt a) wodewile i melodramaty ludowe, punkt d) cykl faktomontaży historycznych „Dzieje demokracji polskiej”, e) widowiska dydaktyczne w formie reportażów, h) arcydzieła dramatyki chłopskiej i mieszczańskiej w rodzaju Misterium o Bożym Narodzeniu, Gody weselne itd., — w przeciwieństwie do punktów oddalonych od ścisłej problematyki ludowej, przewidujących przeróbki powieści, wartościową polską twórczość dramatyczną, celniejsze dzieła dramatyki cudzoziemskiej. Grupa przedstawień, do których zalicza Schiller „Krakowiaków” łączy również wyrazistością tendencji politycznej, zatartej w innych punktach, gdzie chodzi o tradycyjne tematy obrzędowe, czy wprost o zabawę niewyżytą wartości kształca-

nych. W projekcie Schillera uderza fakt dbałości o wysoki poziom estetyki, szlachetności wystawy, niemal „czystego piękna”, które ma wartości jeszcze inne niż wychowawcze, które nie tylko sprawia, że myśl polityczną zapamiętamy, gdy nie tylko do naszego umysłu, lecz i do wrażenia się ona wciśnie: — ale które jest wartością same w sobie, godną każdego człowieka, a więc i nowego widza teatru masowego. Stąd owa formalna dbałość, przepych muzyczny, dekoracyjny, estetyczny widowiska, ogrom kunsztu włożonego celem wydobycia PIĘKNA.

NADANIE TEKSTOWI CHARAKTERU POLITYCZNEGO.

Zbudowanie dzieła, robiącego tak potężne wrażenie, jest wyłącznie niemal zasługą sztuki teatru, pojętej jako oddzielna dyscyplina twórcza. Wartość literacka bowiem „Krakowiaków i Górali” jest archiwalna; podobnie muzyka Stefaniego, jakkolwiek szlachetna i staranna, jakkolwiek łącząca urok stylu osiemnastowiecznego z pierwszymi próbami wprowadzenia tanecznych motywów ludowych, raczej należy do historii sztuki niż do jej żywych dzieł. Teatr unowocześnił „Krakowiaków”, nadając im przez interpolicję i wstawki charakter aktualnie polityczny. Zresztą „Krakowiacy” charakter ten mają według zamierzenia autora, „Ojca Sceny Polskiej”, Bogusławskiego, zwolennika reformy, gorącego sympatyka Kościuszki, i niewątpliwie jednego z twórców — właśnie po przez „Krakowiaków”, — owej atmosfery narodowego i demokratycznego patriotyzmu, która w epoce Sejmu czteroletniego do dziś dnia nas czaruje. Błaha fabuła „Krakowiaków”, ukazująca zaloty Bryndasa — Górala i Stacha - Krakowiaka do Zosi, skomplikowana miłością macochy do Stacha i bójką krakowiaków z góralami, zakończona szczęśliwym pogodzeniem się wszystkich, dała Bogusławskiemu okazję by wprowadzić na scenę lud, i to bardziej podobny do prawdy, niż w wielu późniejszych podobnych utworach. Ale nie tylko w tym był akcent rewolucyjny; w usta sprzeczekających się chłopów włożył Bogusławski takie oto wezwania:

„Bracia, stójmy dzielnie w boju,
Nie żalujmy sił i znoju!”

„Trzeba nam się dzielnie bronić
i zwyciężać, lub umierać!”

W ten sposób zdołał Bogusławski obejść zastrzeżenia cenzury, tworząc jednocześnie widowisko patriotyczne, długie potem grane w czasach porobobrowych, zawsze z owym sensem narodowym, ukrytym pod pozorami komedio - opery, zabawiającej widzów śpiewkami. Dziś, gdy można powiedzieć już wszystko ze sceny, bez obawy o kontrolę okupanta, treść literacka „Krakowiaków” nader wyblakła. Został przeciwieście urok epoki, nie tylko okresu tryumfu demokracji polskiej, a także rozpowszechnienia idei racjonalistycznych, którymi sztuka promieniuje. A więc okresu dziejów kultury szczególnie nam dziś bliskiego. Z powiastkami filozoficznymi racjonalistów łączy Bogusławskiego, który fabułę „Krakowiaków” zaczerpnął z francuskiego, nie tylko zainteresowanie ludem, ale i inne motywy literackie: swoboda obyczajowa (zaloty młynarki, śpiewki rubaszne ludowe), uzasadniona nie tylko realizmem obrazu obyczajowego, ale i stanowiąca dla nas dziś urok stylistyczny; motyw maszyny elektrycznej, wyrażający wiarę w technikę i naukę, moralne wskazania w duchu epoki („Bóg nas wszystkich równo stwarza, równo nam się kochać każe, tego tylko upokarza, kto bliźniego krwią się maże”), zaś obok tego aluzje antyklerykalne (postać Miechodmucha), a nawet masonskie (wolnomularskie „Ciernie i głogi”, przeszkadzające w „pięciu się wzwyż” w piosence studenta Bardosa). Ale nie wystarczyłoby tych motywów i dyskretnych aluzji, by ożywić dla nas utwór. Inszenizator postąpił w ten sposób, że rozwinął elementy polityczne widowiska, stopniując ich napięcie aż do najsilniejszego ostatniego akcentu, — odczytanie Manifestu Polanieckiego, przyjęte z entuzjazmem

przez Krakowiaków i Górali, i zakończone zupełnie już aktualnymi kupletami, dokomponowanymi przez reżysera:

Nową Polskęwa stworzyli
Bohaterskim trudem
Niech jej siła, bracia mili
Nowym będzie cudem!

Utwierdziłiśwa granice
Nad Nissą i Odrą
Uprawiajmy tę ziemię
Prastarą i szczerą!

Przedstawienie poprzedzone jest specjalnie napisanym prologiem, wypowiedzianym przez Aktora i Aktorkę Teatru Narodowego w Warszawie, wspominających pamiętną premierę „Krakowiaków”; w której brali udział, i objaśniających widzom jej polityczny sens. W międzyaktach te same postaci objaśniają aluzje zawarte w tekście sztuki i wydobywają motywy związane z Insurrekcją Kościuszkowską. Sam tekst pełen jest podwójnych znaczeń; rozmowa, tocząca się rzekomo na tematy miłosne, staje się demonstracją patriotyczną, i postaci zwracają się wtedy wprost na widownię, rzucając hasło publiczności:

Przecież co swój to swój; na cóż tu
obcego
szukać, kiej mamy w domu rodaka
swojego!

Serce nie sługa, nie zna co to pany,
Nie da się okuć przemocą w kajda-
ny!

Kulminacyjnym punktem sztuki jest bitwa Krakowiaków i Górali, w której reżyser zupełnie już otwarcie dał gloryfikację zwycięstwa Racławickiego; piosenka, którą śpiewają idący do rozprawy z kosami w ręku Krakowiacy, jest insurrekcyjną piosenką żołnierską: „Pójdźmy wszyscy do Kościuszki!”. Zaś Bardos, wędrowny student, zmienia się nagle w postać oznaczającą samego Naczelnika, gdy w swoim piaskowym surducie staje na czele barwnego tłumy chłopskiego, z głową wzniesioną do góry i niebieską rogatywką w ręku.

SCHILLER O SWOJEJ INSCENIZACJI.

Najciekawsze dla naszych działaczy będzie oświetlenie przedstawienia, jakie dał sam jego twórca L. Schiller, analizując swoją pracę w seminarium reżyserkim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Podanie tego objaśnienia teatrologicznego, jako przykładu, będzie pożyteczniejsze, jako fachowe, — niż ogólnikowe omówienia. Pomimo, że jest b. specjalne, powtarzamy je tutaj w skrócie, by służyło przykładem, jak nowoczesny reżyser opracowuje spektakl teatru masowego.

OPRACOWANIE INSCENIZACYJNE TEKSTU

Ponieważ zamierzeniem inscenizatora było rozwinąć przede wszystkim sens ideologiczny, — demokratyczny, nawet agitacyjny utworu, przystąpił Schiller do dobudowania odpowiedniego komentarza historycznego. Fabuła jest nieważna, prymitywna, i została ograniczona do minimum, usunięto np. zapowiedź Bardosa z 1-go aktu, że zainscenizuje wobec Doroty rozmowę kompromitującą ją (to co dzieje się w 4-tym akcie), itp. Rozbudował Schiller natomiast i wyzyskał wszystkie aluzje łączące się z tłem i epoką historyczną. Miało to swój odpowiednik w inscenizacji, w której prywatne części akcji stały się marginalnymi, stylową ozdobą, a na plan pierwszy wysunięto sceny zbiorowe, gdzie bohaterem jest cała grupa chłopska. Komentarz miał oddawać atmosferę premiery „Krakowiaków”, utworu związanego z nastrojem Insurrekcji. Początkowo miała być dokomponowana cała scena, prolog, ukazujący Bogusławskiego objaśniającego zamiar „Krakowiaków” miały być wprowadzone głosy współczesnych (reakcja Polaków, Igelströma, dyskusje dokoła utworu). Ze względu technicznych ograniczono ten komentarz do rozmowy dwojga aktorów Teatru Narodowe

W najbliższym czasie ukaże się wydana przez
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KSIAŻKA

JANA ALEKSANDRA KRÓLA

p. i.
„DROGOWSKAZY
na manowcach
KULTURY LUDOWEJ”

go, podkreślających polityczne znaczenie premiery, której byli świadkami, i przed każdym aktem komentujących jego sens ukryty. Inscenizator dopisał dwa większe fragmenty, — monolog studenta Bardosa, postaci kluczowej, najostrożniej ideologicznie zarysowanej, granej przez samego Bogusławskiego. Bardos opowiada, jak relegowano go z akademii za pochwałę Rewolucji francuskiej i porównanie „elektryki“ do gilotyny, „która chociaż ból sprawia, wychodzi na zdrowie“; w ten sposób wieloznaczna postać Bardosa nabrała wyrazistości ideologicznej. Drugą większą całością dokomponowaną jest epilog w formie kupletów śpiewanych przez poszczególne postaci, a następnie podchwytanych przez chór. Nawiązuje on do zwyczaju wprowadzającego w ostatnich słowach sztuki jej tytuł, np. w komedii Dmuszewskiego „Szkoda wąsów“ śpiewano wodewil końcowy, zawierający dwa słowa tytułu w refrenie. Podobnie tu na kanwie refrenu zawierającego wyraz „Cud“ wprowadzono aktualne przysłówki, np. ten o ziemi nad Nissą i Odrą:

Chcecie znów ją skraść złodzieje
To wam się nie uda!
Ja się z tych pogrózek śmieję,
Nie wierzę w te cuda!

Kuplety te będą aktualizowane, zależnie od zmienionej sytuacji, przyjdą nowe związane z wyborami, ze zmienioną sytuacją zagranicą i u nas itd. Wtętem jest również wprowadzenie Uniwersału Połanieckiego w ostatnim akcie, oraz wyjątku z listu Kościuszki do Czarotorskiego: „O Boże, co za epoka dla radości powszechnej i pomyślności narodu!“

W chórze końcowym wprowadził Schiller retusze, by podkreślić hasła równości i braterstwa. Te wtęty i apostrofy do publiczności usprawiedliwione są zasadą, że w wodewilu wolno było dopisywać aktualne wstawki. Kamiński (kontynuator i naśladowca Bogusławskiego, autor „Zabobonu czyli Krakowiaków i Górali“) dodał całą scenę z Pastuchem, ogłaszającym wejście wojsk napoleońskich i wzywającym do mobilizacji w śmiałych, patriotycznych zwrotkach, na co nawet komiczny organista Miechodmuch oświadcza że „dośiadzie szkapiny“.

Również w zakresie muzyki potrzebne były interpolacje; kompozycja Stefaniego, mimo, że rzetelna i stylowa jest wadliwa, niedość znana, zażmiał ją późniejszy Kurpiński; trzeba było wprowadzić wtęty z opery Kurpińskiego, której styl jest już inny, bardziej „ludowy“, zamaszysty; polonez Kurpińskiego nie ma już zacięcia menuetowego, osiemnastowiecznego (Ogiński), jak ten u Stefaniego (śpiewany przez Dorotę). Jednakże popularny polonez Miechodmucha (Kurpińskiego) musiał być wprowadzony, jako fragment dla tego widowiska nader charakterystyczny, tylko dla wyrównania stylu orkiestry ściszonego. Z Kurpińskiego pochodzi taniec Górali „Bierz chodaki czart chłopaki“, jedna z najpopularniejszych melodii (w 3-cim akcie), również w stylu różna od mozartowskiego Stefaniego, to też trzeba było dbać o interpretację taneczną, która nie mogła być żywiołowa, mimo, że pasji i ludowości jej nie brakowało; jednak muzyki tej nie wolno „zatupać“.

W ostatnim akcie pochodzi z Kurpińskiego mazurek „Serce nie sługa“, włożony w usta Doroty, śpiewany w okresie swobod galicyjskich otwarcie: „Polak nie sługa, nie zna co to pany“, wreszcie interpolacja najbardziej rażąca, to marsz kosynierów - grenadierów „Dalej bracia, dalej żywo!“, stary mazurek, potem śpiewany w wojsku (Dąbrowskiego), z grupy agitacyjnych pseudoludowych pieśni insurekcyjnych (np. „Nasz Kościuszko dobry był...“ „Bartoszu, Bartoszu...“). Schiller zmienił słowa, które były błahe, wprowadził wyznaczenie wiary i nadziei. Podobnie niehistorycznym jest wprowadzenie pobudki wojskowej, trąbki na tle werbli, z „Kościuszki pod Raclawicami“, używanej w czasie bitwy; chodziło o wyraźną aluzję do Raclawic. Schiller daje krakowiakom do rąk kosy. Zresztą agitacja mo-

gła na wieś docierać, np. Wawrzyniec wygląda na emisariusza - konspiratora, ale raczej tak nie było, również z powodów społecznych (chłopi nie musieli wierzyć szlachcie).

Styl inscenizacji. Można było podkreślić konwencjonalizm, mimo znakomitej ludowości. Zbliżył się bowiem Bogusławski do tonu ludowego niesłuchanie w porównaniu do Kurpińskiego, Brodzińskiego („Wiesława“), nie mówiąc już o Gessnerze. Jest to istotną zasługą Bogusławskiego, mimo, że „Cud czyli Krakowiacy i Górale“ nie jest pierwszą ludową sztuką („Agatka“ była jednak konwencjonalna, z niedołączonym mazurzeniem, w „Nędzy uszczęśliwionej“ Bo-

homolca mówią literackim językiem). Lud u Bogusławskiego jest prawdziwy, zachowuje on lokalny koloryt (mowa o Piaskach gdzie był sławetny kościół Karmelitów, prawdziwe obrzędy, nieprawdopodobni tylko górale mieszkający „za rzeką“). Jednakże konwencjonalizm zostało dosyć, ci chłopci musieli wypowiadać myśli inteligentnie, fabuła również jest konwencjonalna. W żadnym jednak wypadku nie można wystawić „Krakowiaków“, jak to zrobił Kamiński w dekoracji Frycza w Warszawie (przedstawienie na Starym Mieście) w r. 1913, w Warszawie, która ludowości nie znała i nie lubiła. Pejzaż ujęty był realistycznie i „nastrojowo“, w ro-

dzaju obrazów J. Stanisławskiego, na scenę puszczono żywe gołębie, inscenizacja realistyczna w malarskim stylu „reinhardtowskim“. Można tę dawną komedio - operę ująć zupełnie konwencjonalnie à la „stary teatr“, więc dając kulisowe „przecięcia“, tło malowane jako prospekt, las podobnie malowany.

Inaczej jednak postąpiono w inscenizacji łódzkiej; autor dekoracji, Wł. Daszewski, niewątpliwie inspirował się konwencjonalnym językiem sceny ówczesnej, ale raczej za punkt wyjścia wziął dawne ryciniarstwo. Za czasów Bogusławskiego dawano bowiem tło malowane; byli znakomici perspektywiści, jak Sacchetti, Głowacki, starannie wykonujący drobne, naturalistyczne szczegóły na panneau. Były też dekoracje słabe, linearne (Bogusławski pisze, że polskiej dekoracji zarzucano brak życia, robiona jest jakby za szkłem). Ale Daszewski szukał wzorów raczej w drzeworycie barwnym owej epoki. Panneau, wyobrażające wieś Mogiłę pod Krakowem z kopcem Wandy na horyzoncie, ujęte jest realnie, drobne budynki malowane są perspektywicznie, „en relief“ (robią wrażenie wypukłości), ale wcale nie szło o złudzenie prawdy, przeciwnie, zaznaczono przez wyraźność konturów, plam, schematyczność drzew, że to — malarstwo, a nie „prawda życiowa“ (por. fotografie). To połączenie realizmu ze stylizowaniem, — ale nigdy stylizowaniem, odchodzącym zupełnie, do granic fantastyki, od prawdy życiowej, — stanowiło o charakterze przedstawienia, nigdy nie odrywającego się od ziemi, a przecież przenoszącego temat w płaszczyznę poetycką, (charakterystyczne były wrażenia widzów, w pierwszej chwili uderzonych „egzotyzmem“, niemal „tureckością“ kostiumów i dekoracji, nie mogących pojąć jak ten „czar“ połączył się potem z tak autentyczną ludowością. Inscenizacja tu stworzyła nowy język, zacierając granicę między rzeczywistością a sztuką, ale tak, że z gruntu rzeczywistego nigdy nie schodzimy).

Podobnie rozwiązane zostało zagadnienie kostiumów, bardzo trudne, bo ich bogactwo kolorystyczne musi się komponować z dekoracją i z każdorazowym układem sytuacji scenicznej. Autentyzm strojów ludowych groziłby ubóstwem, choćby przyjął założenie, że akcja odbywa się w niedzielę. Dekorator Wł. Daszewski solidnie przeprowadził wzory autentyczne, według albumu S. Udzieli, ale następnie sparafrazował je i wzbogacił kolorystycznie. Krój sukman, kamizel, kierzji, u kobiet gorsetów i kaftanów jest zachowany, ale barwy zestawione są swobodnie, np. męskie nie tylko szare i granatowe, ale w znacznie bogatszej niż w życiu różnorodności; wprowadzono 3 odmiany kapeluszy słomkowych itd. Górale nie noszą się tak jak ich pokazano, (harnasie w wysokich kapeluszach z piórem) w dawnej ikonografii i malarstwie niema górali jako zbójników, elementy te pojawiają się późno; tu jednak wprowadzone są jako poetycka parafraza, dla wykorzystania piękna kostiumowego.

Ten styl zachowano w ujęciu muzyki, nie może ona być zadzierzista w kapelowym chłopskim stylu, z tańców trzeba było eliminować tupanie, — mimo, że zachowano całą pasję i werwę np. oberka. Ale są to tańce „teatralne“ ludowe, wystylizowane i ułożone, nie „autentycznie“ reprodukowane. Stylizacja całego utworu musi mieć odpowiednik w gestyce, ale nie w marionetyzacji, schematyzacji, tylko w sensie ściślejszego komponowania, uwzględnienia symetrii. Jednakże o ostatecznym wydzwieku przedstawienia decyduje prawda, wbudowana jedynie w ramy sztuki; wszystkie konwencje operowe są tu tłem dla realnego, żywego ukazania grupy chłopskiej; twarze, głosy, gesty aktorów angażują się bez reszty w przeżycia, które ich poruszają, i tylko nogi, nie bacząc na stan ducha właściciela, wycinają regularne holupce, wynikłe z koniecznego rytmu tanecznego.

Zygmunt Kałużyński.

Józef Andrzej Frasiak

NOWE WIERSZE

Moja wieś

Nim zamilknie ta wieś nadrzeczna
z łękiem czajek, lśniąca jak lzy,
jak włokący się z chałup dym,
jak marsz księżycy, droga mleczna —

nim traktor nowy dotknie tej ziemi,
nim pługi zefeldą do obór i mgła,
nim echa ucichną i pora zła
a czas zamilknie w żarnach w sieni —

nim ludzie odejdą i sprząty i skrzynie
i dawność i zwyczaj — dzieła rąk,
nim przebrzmi żabia muzyka z łąk
i wiatrak na wzgórzach z wiatrem spłynie:

tym mi osiczyn drżących daj,
ty mi śpiewem ozłoc tę wieś,
moich bosych stóp ślady pozbiierz —
i niech sobie wtędy muzyczny minę.

Konie

Cichnącego świerszcza muzyka
jest jak skarga, jak dzwon,
jak wieczorny przelot wron,
jak szmer kamieni u strumyka.

Zostawione w polu brony,
sączący się w ziemię chłód —
konie, wchodzące w bród,
piją wodę długo — utrudzone.

Kto, jak ja, zna ciężar pluga
i zapach ziemi, orną pieśń —
moja znojem uchodzona wieś
jak lza jest, — jak odlot, — jak dymu smuga.

Czas próby

(Fragment)

Rok ów osypany był kwieciami dali,
zamyśleniem oczu, schyleniem czoła i ciszą.
Chłopi orali pola, śledząc każdy ruch wiatru i licząc
odjeżdżające na wschód pociągi.
Dymy długie i kwaśne szły z chałup,
zadymiony krajobraz szedł w pola zamglone
i już nie wracał. Tylko psy zjadliwe,
rwały ku skrzyżowaniu dróg, ku wzgórzom
odszczekując się czółgom i kolumnom,
po czym wracając skulone, wyły zaraźliwie
pod uchylony księżyc, pod tętent wozów,
pod iskrzącą się gwiazdę polarną.
Szedł czas i niósł rzeczy owe,
które z lotu samotnie ciągnących wron,
z opadających gwiazd, ze zorzy i znaków
samotnie odczytał, jak ongi wróżbił.
Kobiety trwożliwe — patrzyły na mężów i synów,
lzy unosiły w kąty izb pokryjkomu.
Szedł czas. Rok ów w naszym kraju —
o którym pocieli długo smutny śpiew poniosą:
o zgłiszczach i popiele, o ziemi zdeptanej,
o człowieku zaszczutym, o głodzie i rzezi,
o domostwach dogasających rankiem,
o nocach pełnych zbrodni i mordów,
o pijanicach tańczących w kościele,
o przekupniach grających o szatę,
o pogrzebach bez trumien, o zaginionych bez wieści, —
gdy brat zaprzedał brata,
gdy syn zaprzedał matkę,
gdy ojciec opuścił dzieci,
gdy matka zaparła się Bogą
za podrzucony kęs chleba w czas próby i głodu —
a tylko szalał wróg, wróg i szatan.
W czas zły. W czas próby.
O roku ów w naszym kraju.

Piotr Greniuk

Kiepska „wiejskość“

JERZY NOWOSIELSKI — Szczęście Hani — komedia ludowa w trzech aktach. Biblioteka „Wici” Nr 12. Wydział Wydawniczy Związku Młodzieży Wiejskiej RP „WICI”.

Byłem niezmiernie ciekawy nowej pozycji Biblioteki „Wici” i pragnąłem co prędzej poznać tę „komedię ludową”. Okazja nadarzyła się doskonała, zaprezentował nam ją bowiem zespół młodzieży ze Szkoły Rolniczej i miejscowego Koła Mł. Wiejsk. „Wici” w Tymianie, pow. Brzezińskiego, na gościnnym występie w Liceum Hodowlanym w Bratoszewicach.

Wszystko szło normalnie, jak to zwykle bywa na takim przedstawieniu — dekoracja, sceny, charakterystyka osób, bilety, dzwonek jeden, drugi, trzeci też i przedstawienie się rozpoczęło.

Poznajemy osoby dramatu — ojciec, matka (bogaci rodzice), syn Stanisław, córka Hania (ich dzieci), sąsiad Józef, sąsiadka Balbicha, wdowa, wyrobnica Maria, Tadeusz jej syn (obecnie żołnierz), Jaś służący, Kleofas Rypalski kuzyn wójtowej z miasta.

Wątek dramatyczny snuje się najwinnie, od wieku dla sztuk dla wsi jednakowy — Hania kocha Tadeusza, matka jej nie zgadza się na ten związek, bo Tadeusz jest biedny, chcą ją swatać z „jentelegentem” z miasta, sąsiad Józef nie wiadomo z jakiego tytułu wtrąca się w nieswoje rzeczy i czuwa nad tym, aby Hania spełniała swe marzenia i wyszła za Tadeusza. Ojciec — wójt, spokojnie śledzi przebieg sprawy, bez wyraźnego zdania i decyzji staje po stronie córki. Sztuka kończy się pomyślnie, Tadeusz dostaje 500 dolarów z Ameryki (dość mądrze przedstawione zagadnienie), za które matka jego kupuje 10 morgów pola i spłaca dług wójtowi. To przekonuje matkę Hani zupełnie, wyraża zadowolenie z obrotu sprawy, nie martwi się, że jej kuzyn z miasta dostał tegie lanie od „chamów” na wsi, przyjmuje z wylewnością Tadeusza za syna.

Wszystko dzieje się jak w pewnej metodzie nauki języków obcych, która wysuwała zasadę — szybko, łatwo i przyjemnie. Podobnie przebiega akcja w omawianej sztuce. Ze za szybko i za łatwo, i że niezbyt przyjemnie, niech się o to martwi bezradny reżyser zespołu teatralnego na wsi i spragniony widz, który wychodząc po przedstawieniu niewiele wie więcej, niż przedtem, a może jeszcze mniej, bo zrujnował w sobie i te pojęcia, które już zdołał sobie przyswoić inną pracą — o uczciwości, moralności, o miłości bliźniego i szacunku dla ludzi pracy, czy dla ludzi innego pochodzenia, o dostojnej coci dla rodziców itd.

Zadajemy sobie przeto pytanie, jaki cel chciał autor sztuki osiągnąć?

Może chciał zapoznać nas ze środowiskiem wiejskim, z charakterystyką dzisiejszego chłopca? Ależ osoby w sztuce to nie dzisiejsi ludzie wsi. Dzisiejszy człowiek na wsi naprawdę więcej myśli i więcej już umie, zainteresowania ma szersze i o wiele głębsze. Nie tylko „gront” stanowi jego sens życia, ale i zagadnienia społeczne, polityczne, kształcenie dzieci itp., a w sztuce o tym ani słowa. Nic, tabaka w rogu. Raz jeden synowie-żołnierze opowiadają o wojsku (scena ostatnia), wyrażając się o nim z uznaniem, starsi ani jednym słowem nie podkreślają wagi wojska i jego służby społecznej, o której żołnierze z takim zachwytem wspomnieli — „wojsko tam pomaga cywilnej ludności we wszystkim, sieje zbiera”, — a przecież i wójt i Józef należeli w czasie okupacji do B. Ch. i mogli podtrzymać rozpoczętą rozmowę.

Chłop ze sztuki Nowosielskiego, jest tego typu, co to aby mu zabłysnąć grosiwem, oho, już go masz na zawołanie, znajdzie wówczas i serce przymilne i zgodę na oddanie swego dziecka w niepewne zamęcie, byle majątek, a to nie jest całkowicie dziś prawdą i nie należało podkreślać tych ujemnych cech, choćby one jeszcze się gdzieś tam w szczytkowej formie kołatały, ale innymi drogami poprowadzić myślenie widza i nie ukazywać młodemu pokoleniu wsi typów chłopów sprzed kilkadziesiąt laty ze wszystkimi przyzwyczajeniami, zacofaniem, konserwatyzmem, bo to już inne wydarzenia przekreśliły, ale ukazać chłopca postępowego, uspołecznionego, który świadomie i celowo podejmuje swój trud ku polepszeniu doł i szczęścia wsi.

Jeśli autor chciał przedstawić w swej sztuce stosunek chłopca do człowieka z miasta, do idei zbliżenia tych dwu warstw społecznych do siebie, zagadnieniu nawiązania rozumnej i na zdrowych podstawach opartej współpracy, współdziałania miasta ze wsią i na odwrót, wylepieniu szkodliwego antagonizmu wyrządza autor „Szczęścia Hani” dużą krzywdę.

Wójtowa chce wydać zamaż swą córkę za człowieka z miasta, dalekiego swego kuzyna. Zaprasza go więc do siebie na wieś. Kleofas Rypalski jedzie w „konkury”. Prawdopodobnie nie bierze ich na serio, bowiem sam jest żonaty i ma czworo dzieci, dość naiwnie przeto brzmi imputowany przez autora Rypalskiemu taki pomysł. Rypalski jedzie na wieś w gościnę do zamożnych chłopów, co to są z nim nawet skuzynowani.

Jakżeż go tu przyjmują? Wchodzi nieśmiało, nikt się z nim nie wita — a owszem, wójt Marceli i Józef obdarzają go na wstępie epitetem: „Co za małpa zielona”. Nie proszą go siadać. Zakłopotana wójtowa robi co może, aby wszystko szło po linii pomyslnych „konkurencyj”, a przecież dzisiejszy chłop na wsi posługuje się pewnymi formami życia towarzyskiego i istnieje na wsi wcale bogaty ceremoniał przyjmowania i goszczenia. Szkoda, żeśmy go w sztuce nie ujrzeli nawet w skromnej mierze.

Zanim jeszcze Kleofas doszedł do słowa, już mu Józef (sąsiad) wali całą reprimendę i pytamy z jakiego tytułu, przez kogo do tego upoważniony? W obcym domu robić awanturę nie swojemu gościowi, toż to grubo nietakt i nie wiem, gdzie autor wyszukał takiego chłopca, któryby tego nie wiedział, nie rozumiał, że to nie przystoi.

To jeszcze mało, argumenty słowne nie wyczerpują tego, co by się chciało wyrazić, „chłop” przedstawiony w komedii Nowosielskiego musi użyć do tego pięści i kija. Scena ta ma przebieg następujący:

Rypalski: (klania się od proga kapeluszem do ziemi) Witam... te... chciałem powiedzieć, witam szanowne zgromadzenie... te... państwo...

Wójtowa: Witamy kuzynka całym sercem, witamy!

Józef i Marceli: Co za małpa zielona!

Rypalski: (z ponownym ukłonem) Kleofas Rypalski... te... właśnie chciałem powiedzieć... jestem.

Wójtowa: Niech se kuzynek siadzie, o tu, tu!

Rypalski: (podchodzi do krzesła) Te... właśnie... już siadze... (ręką za sobą odwraca krzesło tyłem i siada na ziemi).

Wójtowa: Ach!

Wszyscy: Ha! Ha! Ha!

Wójtowa: Ach! Chyba się kuzyniek nie potluckeś?

Wszyscy: Hu! hu! hu!

Rypalski: Nie... ten tego... właśnie troszeczkę... (pociera miejsce ręką i siada na krześle, nogi wyciąga przed siebie).

Wójtowa: (bierze za rękę Hanię i ciągnie do niego). To właśnie moja córuczna Hania!

Rypalski: (zrywa się) Ochi! Ach! cud!... te właśnie... gdybym wcześniej... ale właśnie... ten tego!

Wszyscy: Hu! Hu! (Hania chowa się do kąta).

Rypalski: Leciałem właśnie... eeee... leciałem właśnie przez lady i morza i właśnie, żeby zrobić... ten tego...

Wszyscy: Hu! Hu!

Wójtowa: O, Jezn!

Józef: (wysuwa się na środek sceny. Groźnie do Rypalskiego) Dość tego! To ty, łobuzie, myślałeś, że ci się uda uczciwych ludzi wyprowadzić w pole?

(Ogólna cisza).

Rypalski: Eeee... czyście oszaleli, człowieku?

Józef: Ty, jezu sakramencki! Mosz babę i cztery dzieci i chcesz się drugi raz żenić z majątkiem?... Na wódkę ci potrzeba? Byłem w mieście, sprawdziłem, ktoś ty! Łapserdak! Oszust!

Wójtowa: Och, o Boże! wody, wody, umieram! On ma czternaście dzieci. (mdleje).

Rypalski: (zrywa się z krzesła i chce uciekać. Wszyscy leżą do niego, szarpia za ubranie, Krzyczą).

Wszyscy: Ty łotrze! Ty lisy koniu!

Rypalski: (wydziera się i wrzeszczy) Puśćcie, puśćcie, chamy... eee... bo ja już zrobiłem ten tego... (wyrwa się do drzwi, a tam Jaś iek wyskakuje i miotła bije, gdzie trafi. Nknie za drzwiami, a Balbicha za nim).

Jan Bolesław Ożóg

Na porwanie żony do miasta

Bławatek nieba po wręby,
kłosy rozwija malina.
Jakby zaranna godzina
ostrzona o skrzydło zięby.

Grusze spadają jak kromki
zielonej chmury na płoty,
żono z jagódki pozłoty,
z poziołki!

Prószyle białe motyle
piórkami wiatru i siana,
klaskać ci o kolana
od dzisiaj będą kalwile...

Aby całować na stacji
kluczyki spadłe z jesiona,
gdy brzęczą ciche wrzeczona
w akacji,

trzeba, by dymkiem okadził
ajer od żabiej doliny,
a szkaplerz z miodzi i cyny
przez całą młodość prowadził...

Gałązek teraz jemioly
do kosów, Broniu, i wstążek:
Jedziesz do świata, do ksiązek,
do szkoły...

Daleko, daleko w polu
teraz jak trzecie za-lesni
placzą w gałęzi czereśni
satyry i czorty z kąkolu

w tym kraju, gdzie garść rozłogu
i wiąz i sowa — trzylatka
w okienku i kotka — matka
u progę...

Stanisław Skoneczny

M A T K A

Smutną ma twarz matka moja. Jesienna pora
obrywa z pochylonych drzew czerwone liście.
Ktoś do domu mojego przyniósł wieść z wieczora,
że była oblawa. Czekala na me przyście

matka w oknie niedomkniętym. Słychać w noc głuchą
jak toczą się po niebie osrebrzone rosa,
gwiazdy pogodne, zimne jak szron lub wiatr suchy.
Obsunęły się matce na skroń siwe włosy.

Czerwieńszy od zachodu jest na płocie plakat.
Rzędy liter się chylą jak kondukt żalobny
na tym zwykłym papierze. Przy nim nikt nie płakał,
choć czytali go ludzie w ten ranek ogromny.

Nie mówili nic, idąc tędy robotnicy,
nie mówiły nic kobiety idące po przydział.
Kwiaty nocą ktoś rozsypał w miejscu szubienicy.
Matka moja czytała plakat na ulicę idzie.

Rysował się księżyc biały jak obłok letni
nad domkami przedmieścia brodzącymi w deszczu,
który padał od świtu. Samolot nie przetrnie
dnia, by zwałił się jak pień sosnowy, trzeszcząc.

Powiedział ktoś wieczorem w okno niedomknięte,
że zostałem ranny w Kozińskim lesie.
Kto? nie powie wierzba, bo już dawno ścięta.
Noc nad ziemią rosę chce z gwiazd mokrych przesiać.

Matka moja ma twarz smutną, ale nie płacze.
Lot jaskółek przecina koła dymu nad sienią,
który płynie od toru na biełkicie się spazając
i opada na drzewa, rozplywa się w cieniu.

Naprawdę niesmaczne to i przykre. Rypalski jeszcze nic nie powiedział, nie wyraził całej swej wizyty, nie uczynił żadnej propozycji ożenku, nie wiemy o nim prawie nic i ledwie wszedł, rozpoczął rozmowę — już go biją i to całą gromadą. Tak czynią istotnie tylko chamy, ale na dzisiejszej wsi dzieje się już na szczęście zupełnie inaczej i szkoda bardzo, że autor nie pożytkował się i nie sprawdził, jakie więzy społeczne łączą ludzi ze wsi, z ludźmi z miasta, choćby na przykładzie współpracy organizacji młodzieżowych.

Mają miejsce dziś na wsi wydarzenia wysoce dramatyczne, ale mają jakiś logiczny sens, uzasadnienie, powody, a w sztuce przecież musi to wynikać z akcji. To jest konieczne.

W takim ujęciu, jak to autor przedstawił, sympatie nasze są po stronie Rypalskiego, a jeśli dzieje się inaczej, jeśli widownia reaguje hałaśliwym aplauzem, to jest to niezdrowa, szkodliwa demagogia, zupełnie na czasy dzisiejsze niepotrzebna.

Poważnym niedociągnięciem w sztuce Nowosielskiego jest jej morale. Na tej króciutkiej przestrzeni, jaką stanowi treść sztuki, autor kilkakrotnie podsuwa niezbyt zdrowe sugestie, ale bodajże najbardziej przykrym momentem w sztuce jest ta scena (akt I scena 4), w której Hania 17-letnia dziewczyna opowiada sąsiadowi Józefowi o swoim ojcu, który wrócił „w zesła niedzielę” od Józefa tak pijany, że nie wiedział o świecie bożym. Opowiada o różnych pijackich pomysłach ojca, śmiejąc się przy tym z zadowoleniem, wreszcie kończy opowiadanie

tak: „Rano obudziłam się, patrząc, a ojciec leży na podłodze przez kałeson. Ha! ha! Portki ma włożone na szyję, a marynarkę naciągnął na nogi, aż rękawy się popuły. Ha! ha!

To brzmi już bodaj niesmacznie i przypomina nam podobne zdarzenie, które miało miejsce wiele wieków temu wstecz, a opisane jest w Starym Testamencie. Czytelnik łatwo to sobie przypomni i ten epitet, jaki pozostał dla tych późniejszych pokoleń, które nie wiedziały, gdzie granica przyzwolności, grzeczności, uprzejmości, szacunku i godności.

Język w sztuce niepotrzebnie jest zasypany pseudo gwarowymi wyrażeniami jak: kole, coby (żeby), gruntu (gruntu), świecom, sielna, rokok, przez (bez), mojami (moimi), poczkaj, jentelegent (inteligent), letko, kieł, potrza, krwawymi (krwawymi), bendom (benda), beł (był) itp., które raczej zaciemniają pojęcie o gwarze i wiadomości z gramatyki. Na zakończenie jeszcze o jednym szczególe chciałbym wspomnieć, który również obniża wartość sztuki. Jest to uwaga reżyserska pomieszczona w scenie 8 aktu 2-go. Rypalski (podchodzi do krzesła). Te... właśnie... już siadze... (ręką za sobą odwraca krzesło tyłem i siada na ziemi).

Autor chciał za wszelką cenę uczynić swą sztukę wesołą, żeby się widownia śmiała. Rezultat połowiczny. Wielu jeszcze dziś — niestety — śmieje się z takiego bardzo już utartego kawału, ale są na szczęście i tacy widzowie spośród ludności wiejskiej i będzie ich więcej, którzy już z takich farmaceutycznych dowcipów nie śmieją się, a raczej denerwuje się, że mimo tylu głosów krytyki na temat sztuk dla teatrów ochotniczych, mimo licznych wskazówek i instrukcji, wciąż jeszcze plenią się „sztuki” z rodzaju „Fatalna kiełbasa”, „Żyd w beczce”, „Chrapanie z rozkazu” itp., a które sama wieś ongiś przeważała mianem „kumedyje”.

Czas najwyższy z nimi skończyć i jeśli ten i ów autor pragnie się wyżyć po tej linii myślenia i odczuwania, niechże to będzie jego osobistą sprawą, niech poważne instytucje wydawnicze, do których pragnęlibyśmy zaliczyć również Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici” nie przykładają do tego swej ręki, bo to je obciąża i wydaje o nich złe świadectwo.

Od Administracji

Administracja tyg. „Wies” przypomina wszystkim Prenumeratorom o konieczności odnowienia prenumeraty na rok 1947. Prenumeratę należy wpłacać przekazem pocztowym na konto

P.K.O. - ŁÓDŹ VII - 1080

Blankiety należy wypełniać czytelnie — z podaniem miejscowości i poczty.

Stefan Lichański

MIEDZY AWANGARDA, A TRADYCJONALIZMEM

Wielu krytyków odnajduje w Żukrowskim kontynuatora tradycji pisarskich Sienkiewicza. Zdaje się, że naprowadził ich na ten pomysł Wilhelm Mach, zamykając ideologiczną strukturę książki Żukrowskiego*) w kapitalnym skrócie: szabla i szkaplerz. „Szabla i szkaplerz” — czyż ta formuła nie pasuje „jak ula!” do „ku pokrzepieniu serc” pisanych powieści historycznych Sienkiewicza?

Analogie zresztą między Żukrowskim z jego opowiadań a Sienkiewiczem z „Trylogii” są niewątpliwe i zaprzeczanie ich istnienia niepodobna. Nie należy ich jednak przeceniać, bo utrudnia to sprawiedliwe i rzeczowe podejście do książki Żukrowskiego.

Sprawa pierwsza i najbardziej zasadnicza: to gatunek prozy. Aby uchwycić odmienność prozy Żukrowskiego, musimy skonfrontować pokrewne tematycznie fragmenty z utworów obu tych pisarzy. Oto pierwsze starcie wojsk polskich i kozackich pod Żółtymi Wodami: „— Usarja uderza! — krzyknął pan Skrzetuski.

Jakoż pochylili się w siódłach i ruszyli naprzód, a zaraz za nimi dragońskie chorągwie i cała linja bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie, dwa stęblowskie i mirhorodzki — i starli je w mgieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego. Konie i ludzie, zwałeni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców padli jak łan pod tchnieniem burzy. Opór trwał tak krótko, że Skrzetuskiemu zdało się iż jakiś olbrzymi smok poślknął jednym haustem te trzy pułki. A był to przecie najzjadliwszy żołnierz siczowy. Przerazone szumem skrzydeł konie zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporoskich. Pułki irkielewski, kałnibolocki, miński, skuryński i titorowski zmieszały się zupełnie, a naciskane przez masy pierzających, jęły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragonja dagnała husarzy i rozpoczęła wraz z nimi krwawe żniwo. Kurzeń wasiuryński pierzchnął po zaciętych, ale krótkim oporze i gwał w dżikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej i bity, spędzany w bezładne gromady, cięty mieczami, party żelazną nawałą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się na nowo.”

A teraz opis szarzy ułańskiej z opowiadania Żukrowskiego „Lotna”:

„Podam wodze. Ułani kładąc się na karkach wylili wysokimi łosami, bliskimi pęknięciami. Konie kuły uszy. Szły coraz ostrzej. Kopyta, bijąc w suche zagony kartofli, wybuchaly w kurzawie jak piana. Pochyliłem się. Nim tknąłem ją ostrogą, klacz skoczyła nagle. Nie dała się wyprzedzić. Trzewia grały. Ziemia poczęła się mocno kołysać, nachylona wściekłą falą galopu.

Ręka ścisnąca szablę zwilgotniała. Wysoki gwizd kuli nad hełmem przynadawał tylko piękna temu lotowi ponad jesiennym polem, ledwie powieczonym szklanym blaskiem wstającego słońca. Twarz mi stygła od bolesnego zachwytu. Nie żałowałem niczego. Cóż młodość, miłość, gdy miałem nozdrza pełne zapachu konia, wystrzałów i krwi gorącej, którą za chwilę rozleje.”

Przytoczyłem umyślnie dwa dłuższe fragmenty, by czytelnik mógł łatwiej zorientować się w odmienności tych dwu gatunków prozy. Zdanie sienkiewiczowskie wywodzi się poprzez naszą na łacinie wykształconą prozę staropolską z kanonu rzymskiej retoryki. Każdy środek stylistyczny stosowany jest z należytym uwzględnieniem jego roli w całości opisu i ani jeden element czy to treściowy, czy formalny nie odwraca ani nie rozprasza naszej uwagi skoncentrowanej na ataku husarii łamiącej opór kozaków. Czytając ten fragment mamy wrażenie, że patrzymy na jakiś olbrzymi, patetyczny obraz Brandta czy Matejki, obraz, który nagle ożył, ale na którym działanie i poszczególne figury i całe mas ludzkich odbywa się według wymagań nie życiowej logiki zda-

*) Wojciech Żukrowski: Z kraju milczenia — opowiadania, 1946, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, str. 278 + 2 ul.

rzeń lecz według kanonów patetycznego malarstwa historycznego.

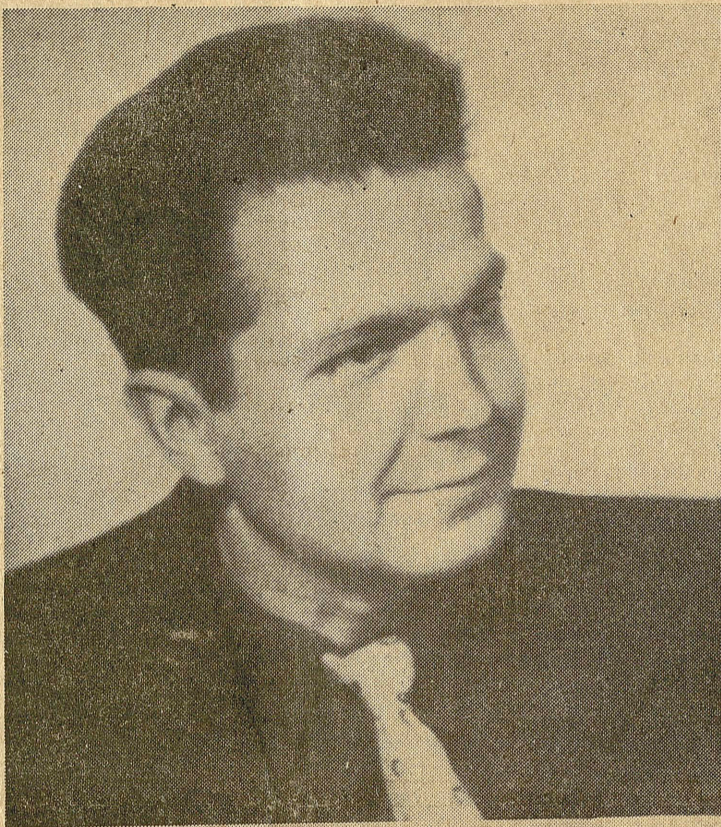
Inaczej zupełnie wygląda ta szarża, którą opisuje Żukrowski. Tu na plan pierwszy wysuwa się stan psychiczny bohatera, a nawet nie stan, bo w tym określeniu jest już element statyzacji, ale raczej seria doznań i emocji przeżywanych podczas szarży oraz wplatających się w nie spostrzeżeń, które narzucają bezładnie zmysłom zdarzenia i przedmioty świata zewnętrznego. Oto krzyk ułanów, (wrażenie słuchowe), oto kurzawa tryskająca spod kopyt jak piana (wrażenie wzrokowe przedłużające się w przeżycie emocjonalne o zabarwieniu poetyckim), oto pocenie się dłoni ścisnącej rękojeść szabli (wrażenie dotykowe), a wreszcie zamykająca fragment refleksja o pięknie żołnierskiej śmierci.

Jeżeli dla prozy Sienkiewicza szukaliśmy odpowiedników w historycznym i batalistycznym malarstwie XIX wieku, to dla Żukrowskiego odpowiednikiem takim będzie nowoczesna liryka z jej skłonnością do opłata-

czeń poezji dwudziestolecia? (Zresztą Żukrowski nie jest wyłącznie prozaikiem, pisuje także wiersze, a jego „Porwania w Tutiurlistanie” można chyba bez wielkiej przesady nazwać powieścią poetycką).

Zajęcie stanowiska ideologicznego, tak bardzo dziś niemodnego (ortodoksyjny katolicyzm) i elementy oraz motywy „kawalerskie”, tak mocno podkreślone przez Macha w jego (najlepszej zresztą dotąd) recenzji z książki Żukrowskiego — „Kwitnące Krzyże” („Twórczość”, nr. VI), nie pozwoliły krytykom zainteresować się należyście wartościami czysto artystycznymi prozy Żukrowskiego.

Proza zaś ta stanowi nawrót do klasycyzmu stylistycznego ale nie przez epigońskie naśladowanie dawnych mistrzów, lecz przez klasycyzację i umiejętne przyswojenie tych zdobyczy formalnych, które w ciągu dwudziestolecia zdołała wnieść do naszej literatury jej najbardziej w tym okresie rozwijająca się i najwięcej rozmachu stylistycznego przejawiająca dziedzina — liryka.



Wojciech Żukrowski

nia głównego przeżycia opisywanego w wierszu wzruszeniami ubocznymi, z jej skłonnością do metafory jako właściwości języka a nie tylko środka wzmacniającego efektywność opisu.

A odczytajmy takie oto fragmenty: „Nad nami olbrzymie pnie, kondygnacje konarów i szeroka strzecha liści. Spokój stu letnich lip. Wystarczyło wyciągnąć dłoń poza ich cień, przycięta słońcem opadała. Białe kamienie murku krzyżowały w blasku, aż mrużyłem oczy.”

„Ranni teraz przycichli, tylko lekarz gwizdał fałszywie, bandażując obnażone ramie. Ten gwizd ze suchych warg, wąty i chwiejny, drażnił w momentach ciszy, jak dżdżółka słomy wodzone po uchu.”

„Poza drutami obozu od razu zaskoczyła nas wiosna. Z okien wagonu, widzieliśmy pola, długie piórka ozimim świetliste od ros, wbiegające podmuchem na łagodne pagóry. Brzozy owiane zieloną i niebo przysłonięte kłębamii pary, niebo pełne wolności.”

Stanowczo ani z kanonów starożytnej retoryki ani z ambicji dorównania plastyki słowa malarstwu wywodzi się ta proza. Spójrzmy na słowa i zwroty podkreślone w cytowanych ostatnio fragmentach. Czyż nie są to wyrażenia echa liryki współczesnej, a może raczej: czyż nie są to rezultaty wniosków wyciągniętych przez prozaika z doświadc-

O ile Żukrowski zdoła spełnić te zapowiedzi, które przynosi „Z kraju milczenia”, twórczość jego może stać się początkiem odrodzenia naszej prozy. Od czasów bowiem Żeromskiego liryka rozmywa coraz mocniej spoiwość stylu prozatorskiego, na miejsce rytmu skojarzeń logicznych, który dominował w prozie starożytnych, wprowadzając rytm akcentów emocjonalnych. (Charakterystycznymi przedstawicielami tego pisarstwa anarchizującego składnię gwoili „prawdy uczucia” będą np. Przybyszewski, Miciński, Jan Wiktor, Żegadłowicz). Pisarze, którzy tworzyli niejako na uboczu od swego nurtu, jak np. Sieroszewski, Bartkiewicz, Chojnowski, żyli po prostu spadkiem tradycji naszego wielkiego pisarstwa realistycznego i dlatego nie byli w stanie zapoczątkować nowego stylu. Żukrowski ma większe szanse właśnie dlatego, że próbuje on wykorzystać doświadczenia liryki dla swoich celów prozatorskich. Liryzm nie wlewa się do jego prozy nurtem podskórnym, nie rozsada jej nagłymi wybuchami czy to patosu czy elegijnych zawoń. U Żukrowskiego liryzm występuje jako świadomie stosowany efekt, jako narzędzie i jego współludź w kształtowaniu prozatorskiej wypowiedzi jest z góry przewidziany i z góry określony.

Proza Żukrowskiego jest „awangardowa” o tyle, że nie stanowi prostego nawrotu do tradycji Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Dygasińskiego, oznacza ona jednak o tyle kres prozatorskiego awangardyzowania, że stanowi osiągnięcie, w którym żywe i cenne zdobycze fazy prób i poszukiwań zostają spożytkowane jako elementy stylu już określonego i wyraźnego.

Z Sienkiewiczem najmocniej wiąże Żukrowskiego następna warstwa dzieła: warstwa wątków fabularnych i motywów psychologicznych. Postaci Żukrowskiego, tak jak i postaci Sienkiewicza, stają przed naszymi oczyma gotowe i skończone. Wypadki mogą tylko odkrywać w nich głębsze złoża życia psychicznego, rozbudowywać i wzbogacać ich naturalne, a w założeniu autorskim przyjęte jako „dane” cechy charakteru. Nawet przemiana wewnętrzna Niemca Grünhagen (w opowiadaniu „Kantata”) przypomina bardzo w swoim schemacie psychologicznym nawrócenie Kmicieja i jak w jednym tak i w drugim wypadku zdarzenia odgrzebują spod osadu grzechów i wad „prawdziwą” naturę danej postaci. Zdarzenia zachodzą u Żukrowskiego nie po to, by sformułować osobowość ludzką, ale by stwarzać preteksty do zademonstrowania przez nią jej arsenału gotowych cech i skłonności. Gotowa jest a priori i świętość księdza Czesława i bohaterstwo moralne Janka z „Przebiegu” i mi-

litarne talenty partyzantów z „Czystej roboty” i szatańskość von Böneckego. Pod tym względem Żukrowski ciąży ku starej szkole która jeszcze wierzyła w istnienie czegoś takiego jak charakter, pojmowany jako wiązka cech stałych i trwałych dyspozycji.

Ze starej szkoły wywodzi się również skłonność autora do operowania w budowaniu fabuły schematem typowym dla romansu przygodowego, w którym wszystkie momenty, jakie autor pragnie podkreślić, występują w wyodrębniających się wyraźnie z toku akcji scenach o wielkim napięciu dramatycznym. Wyjątku nie stanowi tu nawet „Przebieg”, w którym przeciw właściwej akcji toczy się w duszy Janka i polega na wewnętrznym dojrzewaniu do męczeńskiej śmierci, pojmowanej jako ostatni próg dzielący zwykłego człowieka, słabego i ułomnego, od świętości. Żukrowski nie potrafi się wypowiedzieć nie biorąc za kanwę utworu jakiejś akcji żywej i dynamicznej, o dużym natężeniu dramatyczności. Stąd skłonność do figur jasno i wyraźnie zarysowanych, jednoznacznych stanowisk ideologicznych. Rysowanie charakterów drobnymi kreskami i punktami, jak to robił Conrad, czy też burzenie chronologii wydarzeń i chowanie akcji w niki fragmenty, aluzje, napomknienia, jak to ma miejsce u Chorońskiego, jest nie do pomysłienia u Żukrowskiego. U niego człowiek — to musi być człowiek określony, możliwy do ocenienia już na pierwszy rzut oka, a do tego — z paszportem w kieszeni; akcja może być nawet skomplikowana — ale jakoś przypominająca zdarzenia, które zachodzą normalnie na naszej pocelwej ziemi i musi się rozwijać według schematów zaobserwowanych w przebiegach tych wydarzeń.

Ten typ pisarstwa można niewątpliwie określić jako realistyczny, ale należy dodać, zastrzeżenie, że istotą rzeczy będzie w danym wypadku przestrzeganie — że się tak wyrażę — negatywnej normy realizmu. Jak należy rozumieć to określenie? Otóż autor powieści sensacyjnej musi przyjąć jako punkt wyjścia taki układ sytuacji w ekspozycji utworu, ażeby jego bohater detektyw miał punkt zaczepienia dla rozpoczęcia śledztwa; autor powieści „niesamowitej” musi przyjąć jako „daną” wiarę w istnienie upiorów czy też w powrót zmarłych na ziemię, czy w ogóle coś w tym rodzaju. Zarówno w jednym jak i drugim wypadku założenia podstawowe są dyktowane względami kompozycyjnymi, potrzebami czysto literackimi — i prawdopodobieństwem życiowym w owych założonych przez autorów sytuacjach wyjściowych może być najzupełniej nie brane pod uwagę. Inaczej u pisarzy typu Żukrowskiego: tu punktem wyjścia jest sytuacja życiowa prawdopodobna, a jako aktorzy dramatu występują ludzie podobni do nas — no i oczywiście w dalszym ciągu powieści stale obowiązują jako sprawdzian i busola orientacyjna zarówno dla autora jak i dla czytelnika czerpana z codziennego doświadczenia wiedza o „normalnym” życiu, o tym, co się w najbardziej potocznym rozumieniu nazywa rzeczywistością.

Wbrew pozorom czystego empiryzmu jest to wierność wobec świata raczej formalna, gdyż przyjmująca za wzorce i sprawdziany zjawiska i układy zjawisk będące już rezultatami czy przejawami działania prawideł i norm regulujących tok i charakter zajęć bezpośrednio dostrzegalnych. Podskórna tkanka praw rządzących rzeczywistością, „harmonia ukryta” świata zostaje tu zaniedbana na korzyść „harmonii jawnej”. I dlatego zdarza się czasem, że tego pokroju realistyci mogą mieć wizję ogólną świata bardziej dziwną i niedorzeczną niż autorowie opowiadań o strzygach i wilkołakach. (To zastrzeżenie nie odnosi się rzecz jasna do Żukrowskiego, jest ono najzupełniej prywatną uwagą autora szkicu, zaprzysiężonego miłośnika literatury sensacyjnej i niesamowitej).

Scharakteryzowany powyżej typ realizmu kojarzy się zazwyczaj ze światopoglądem skostniałym w dogmatyzm, pewnym posiadania ostatecznej wiedzy o świecie, którą trzeba tylko przekazać — mówiąc stylem urzędowym „do wiadomości i stosowania” tym nieszczęśnikom, którzy nie osiągnęli jeszcze tego stopnia doskonałości umysłowej i moralnej co my. Coś z tego uroczu naukowego zarozumiałstwa odnajdujemy w powieściach współczesnych Sienkiewicza, jakiś ton belferskiego cokolwiek mentorstwa i jakąś irytującą pobłażliwą pogardą dla poglądów i stanowisk, których nasz Arcypolaniecki nie mógł zrozumieć i z którymi nie potrafił się uczuciowo zsolidaryzować.

Struktura ideologiczna opowiadań Żukrowskiego nie przypomina jednak Sienkiewicza, ale raczej Bernanosa. Mam tu na myśli przede wszystkim dwa najambitniejsze w założeniu opowiadania: „Kantata” i „Przebieg”. Sytuacja wyjściowa dla rozwoju problematyki jest w nich dość podobna do tej, jaką mamy w „Pod słońcem szatana”: człowiek, który nosi w sobie głód świętości i wolę świętości oddany zostaje w ręce Szatana, aby w walce z nim zasłużył sobie na najwyższą nagrodę. Sytuację tę w „Kantacie” autor wyraźnie podkreśla. Przypominajmy sobie scenę opisującą mordowanie chorych przez garbatego Czecha, sługusa von Böneckego. Oto moment, gdy ksiądz Czesław na zapytanie, co robi odpowiada, że się modli.

„— Jeżeli ksiądz się modli... za mnie — zaczął — to szkoda czasu. Oni też już gotowi... Potem coś jakby śmiech zadrzało mu w głosie. — A czy widział ksiądz kiedy diabła?”



W NAJBLIŻSZYCH DNIACH nakładem „CHŁOPSKIEJ DROGI”

UKAŻE SIĘ

PORADNIK ROLNIKA

KALENDARZ NA ROK

1 9 4 7

Wielki format. Ponad 300 stron bogato ilustrowanych. Zawiera wiele ciekawych i praktycznych wiadomości i porad niezbędnych dla każdego rolnika.

CENA ZŁOTYCH 100,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach oraz punktach sprzedaży i księgarniach „Książki”.

Zamówienia pocztowe z wpłatą należności należy kierować na konto PKO 1-1733 na adres: Spółdzielnia Wydaw. Książka“ Warszawa, Aleja 3-Maja 36.



